№ 24. Warszawa, dnia 16 (4) Czerwca 1888 r. Rok VIII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Złota Nr. 23.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ:

Przypominamy szanownym abonentom nadchodzący termin przedpłaty kwartalnej.

POLITYKA.

OFIARY POKOJU.

Ks. Bismark, jako Mefistofeles polityczny, nauczył Faustów rozumowania, które kiedyś służyć będzie jako godło satyry naszych czasów: ponieważ stosunki sąsiedzko-państwowe są przyjacielskie a nadzieja utrzymania pokoju dość pewna, więc... pomnóżmy wydatki na armię. Od lat wielu dziwaczny ten wniosek powtarza się przy zatwierdzaniu przez parlamenty budżetów wojskowych, corocznie rządy wymagają nowych i olbrzymich na ten cel dopłat, zapewniając ciągle o serdecznych stosunkach i pokoju. A tak Europa przywykła do tego urągającego wszelkiej logice wywodu, że słuchając go, już się nie śmieje, nie dziwi, nie wykazuje jego niedorzeczności, lecz przyjmuje go, jako coś bardzo mądrego i głęboko pomyślanego.

Od czasu panowania tej logiki wszystkie mowy tronowe i ministeryalne są stereotypowem odbiciem jej dziwacznego wniosku, rozwinięciem stałej formuły o utrwaleniu pokoju środkami wojny. To też telegraf niepotrzebnie się trudził rozsyłaniem po świecie mowy cesarza austryackiego, bo z góry można było przewidzieć jej osnowę. Jakoż nie odstąpiła ona ani na włos od recepty: przygotować prochu, kul, inhalatorów o grubych i cienkich lufach jak najwięcej a Europa będzie zdrową. Nikt nie wątpił, że naród powołany zostanie do złożenia nowych ofiar na ołtarzu dwulicowego Janusa, pytano tylko o ich wysokość. Otóż kapłani „pokoju" zażądali 47,300,000 złr., z których już 16 milionów wydano, reszta ma być wkrótce zużytkowaną, a gdyby się okazała pilna potrzeba, rząd zamawia sobie dalsze usługi kieszeni narodu. Dotąd budżet wojskowy Austryi z rozmaitemi przystawkami wynosi około 186,000,000 złr. rocznie. Straszna cyfra, jeśli zważymy jej przeznaczenie! W państwie biedy i ciemnoty 186 milionów spada w otchłań trwogi i przygotowań do starcia nieoznaczonej daty. Bo kto wywróżyć zdoła, kiedy się skończy ten okropny pokój, to siedzenie na bagnetach, to życie przed wylotami nabitych armat. Przy końcu zeszłego i na początku obecnego roku zdawało się, że wytężone struny popękają, że brzemienna gromami chmura wyrzuci swe pioruny, że wreszcie na niebie Europy zabłyśnie po burzy tęcza. Zmiana rządów w Niemczech zatrzymała w biegu tę chmurę, nie rozpędziwszy jej wcale. Fryderyk III, nieprzyjaciel gwałtownych wstrząśnień, chory, zajęty wewnętrznemi sprawami państwa i niemający ani siły, ani chęci do energicznego oddziaływania na zewnątrz, nie zdołał pogodzić interesów, uśmierzyć waśni, rozstrzygnąć zagadnień politycznych, lecz tylko zatamował ich rozwój, zawiesił rozwiązanie, odsunął ostateczny termin wybuchu. Humanizmem swoim i łagodnością nie ulżył ciężarów Europie, ale ją zmusił do dźwigania ich dłużej, czyli właściwie raczej zaszkodził, niż pomógł. Lawina, która od tylu lat staczając się po pochyłości wzrosła do olbrzymich rozmiarów, dzięki jemu stanęła w swej drodze, ale ponieważ nie ogrzewa jej jasne słońce, więc ona spaść musi, tylko spadnie później.

Przekonywają nas o tem, obok innych dowodów, gwałtowne podskoki budżetu wojennego Austryi. Z mowy cesarza próbowano wydobyć wiarę w pokój, ale zbadawszy każde słowo pod mikroskopem, znaleziono jedynie bakteryę wojny. Pocieszające, dyplomatyczne frazesy o przyjacielskich stosunkach i bladoróżowych nadziejach są bulionem, czy żelatyną, na której ta bakterya się rozmnaża. Ustawicznie żądane nowe miliony na uzbrojenia rozpraszają wszelką ułudę.

Austrya wskazywana jest najczęściej jako miejsce pęknięcia wrzodu. Jej gorączkowe potęgowanie siły wojskowej popiera ten domysł. Obecnie żadne państwo nie okazuje w tym kierunku równej energii i pośpiechu. Arsenały nie odpoczywają a równocześnie z nimi pracuje pompa podatkowa. Podwyższona opłata od wódki da skarbowi kilkadziesiąt milionów, słabo uszczuplonych odczepnem dla szlachty galicyjskiej pod postacią wynagrodzenia za propinacyę. Jednocześnie podniesiono cenę wyrobów tytoniowych, co ma przynieść około siedmiu milionów złr. rocznie. Podpalany przez ministra wojny p. Dunajewski rozgląda się na wszystkie strony, gdzieby jeszcze mógł zapuścić smok podatkowy, jakie gałęzie przemysłu mogą jeszcze więcej „krwawić." Po wódce i tytoniu przyjdzie kolej na inne produkty, a minister finansów jest pomysłowym. Na karabiny nowego systemu, na twierdze, na utrzymanie licznej armii, potrzeba pieniędzy, coraz więcej pieniędzy. Sławny bowiem ten pokój wymaga żelaznego obicia w złote desenie.

I co, czy kto pcha Austryę do tych uzbrojeń? Z wielu oznak przypuszczać należy, iż ks. Bismark. Zaprzągłszy ją do swego rydwanu, podkuwa ciągle, ażeby się nie pośliznęła. Dla każdego taki tylko sprzymierzeniec posiada wartość, który posiada siłę. Kanclerz niemiecki namowami i strachami pobudza więc sojuszniczę do potęgowania środków wojskowych, ażeby ją bądź z nadzieją wygranej rzucić jako kartę przeciwko Rosyi, bądź też uczynić wezykatoryą, odciągającą wschodniej sąsiadce humory wojenne na wypadek starcia Niemiec

z Francyą. Po wstąpieniu na tron Fryderyka III, ograniczającego wolę *major-domusa* Hohenzolernów, Austrya jest może dziś jedyną sferą swobodnych działań ks. Bismarka w polityce europejskiej. Tam nic się nie zmieniło, pozostali oczarowani przez niego ludzie, którzy w nim widzą swego mistrza i przewodnika. Zapomocą nich wywiera on wpływ nawet na własną ojczyznę i jej monarchę. Fryderyk III wobec austryackich uzbrojeń i podtrzymywanej przez nie grozy położenia, chcąc nie chcąc, musi wyciągać z nich wnioski dla swego państwa, kroczyć tą samą drogą, czyli również wbrew woli utrwalać niebezpieczeństwo wybuchu wojny.

Jej widmo, ciągle i coraz jaskrawiej podmalowywane przez kanclerza niemieckiego, nie schodzi z oczu Austryi i pobudza ją do wyczerpujących poświęceń na korzyść swej armii. Ostatni ich akt, podnoszący wydatki o kilkadziesiąt milionów zł. r., tak przerasta zasoby pieniężne państwa, że można go było spełnić tylko pod naciskiem nieuniknionej konieczności. A zatem ona istnieje!

Zapisujemy podwyżki budżetu wojennego rozmaitych mocarstw, ale nie jesteśmy w stanie ściśle oznaczyć ogólnej ich sumy: tyle tam do głównego gmachu przybudowań, przystawek, a wreszcie furtek i nowych rusztowań, że prawie niepodobna wyrachować, ile każde z państw wydaje rocznie na ten cel i wydawać zamierza. To wszakże pewna, że te rozchody dosięgły już cyfr bajecznych i że Europa, pomimo chwilowych odpoczynków, zbliża się nieprzerwanie albo do bankructwa, albo do wojny. Gdyby cesarz austryacki mógł być w swej mowie szczerym, wyraziłby to przekonanie.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Teraz już zaprzeczyć trudno, że znalazła się wola, która wolę ks. Bismarka zgina lub łamie, a on to upokorzenie cierpliwie znosi i nawet dymisyą nie straszy. Może najważniejszym tego dowodem jest pozbawienie teki ministeryalnej Puttkamera. Był to główny pomocnik kanclerza w sprawach wewnętrznych. Jemu przypisują autorstwo prawa o socyalistach, jemu nastawienie maszyny w kierunku skrajnie konserwatywnym, jemu gwałty dokonywane systematycznie na swobodzie wyborów itd. Był to człowiek energiczny, śmiały i w zakresie otrzymanej komendy nawet samodzielny. Wskazawszy mu raz swe cele, ks. Bismark nie potrzebował go pouczać jak podoficera, co dla nich czynić należy i miał w nim zdolnego generała. Poznawszy zamiary i przejąwszy sposoby działania od hetmana, umiał on go naśladować wybornie. Zwłaszcza w poniewieraniu parlamentu doścignął nieraz mistrza. Rycerz junkierstwa pruskiego po za tem stronnictwem szczerze lubiany nie był a nienawiści używał dość szerokiej. Upadek też jego wielu sercom sprawił ulgę. Dopiero następca, dotąd niezamianowany, rozstrzygnie zagadkę, czy cesarz Fryderyk, usunąwszy Puttkamera, głęboko podciął cały system, czy też jedynie odciął najgorszą jego gałąź. W każdym razie system ów zostanie nadłamany. Może teki ministeryalnej nie dostanie liberał, nawet umiarkowany, ale nie dostanie jej również wstecznik i ciemięrzyciel.

Powody tej zmiany zaznaczyliśmy już poprzednio. Częścią z doniesień poufnych a częścią z mowy Richtera w sejmie cesarz dowiedział się o nacisku władz przy wyborach. Napisał więc list do Puttkamera, naganiający te nadużycia i polecający unikanie ich w przyszłości. List ten miał być publicznie ogłoszonym i wtedy dopiero miało nastąpić zatwierdzenie monarsze ustawy o pięcioleciu okresów prawodawczych. Minister postawił się podobno twardo, skutkiem czego odebrał od cesarza drugie pismo, po którem już musiał prosić o dymisyę. Otrzymał ją z orderem, odszedł zaś w „stan spoczynku“ uroczyście odprowadzony przez ks. Bismarka, który mu wyprawił obiad. Głuche wieści twierdzą, że przesilenie ministeryalne trwa dalej, że inni doradcy korony chcą również odejść. Walka, jak zgadnąć łatwo, toczy się o następcę, którego kanclerz radby oprawić w swoje ramy, a cesarz — wyzwolić z pod wpływów wielkorządcy. Ale czemu ten wielkorządca tak giąć się pozwala? Naprzód czuje zrozumiałą trudność zrzeczenia się wielkiej władzy, a powtóre liczy na raka, który chociaż nazwany został wrzodem, nie przestaje działać niszcząco. Fryderyk III znowu bardziej chory, przełykać nie może, rana jątrzy się, założono nową rurkę i przygotowano balon z tlenem dla ulgi w oddychaniu.

Jak ta rana, jątrzą się również stosunki niemiecko-francuzkie. Ciągle lada drobiazg wywołuje zaognienie, które zwłaszcza po ostatnim nakazie paszportowym nabiera ostrego charakteru. Jeżeli rząd francuzki zamierza na swój koszt przyjąć opłatę poświadczeń konsularnych, jeżeli kolej wschodnia darmo odwozi podróżnych, których nie wpuszczono do Niemiec, jeżeli drażniona tymi wypadkami opinia wyczuliła się aż do histeryi, to nawet przejście granicy przez kilku studentów niemieckich z Metzu nabrzmiewa szczególną donioslością i powoduje udział dyplomacyi.

Boulanger ucichł i przędzie nici, któremi mógłby zszyć swoją rozdartą sławę. Ale przeciwnicy też nie odpoczywają i biją powalonego, ile się zmieści.

Ostatecznie tedy przyjęto odszkodowanie dla Galicyi za usługi przy głosowaniu nad podatkiem wódczanym i przyznano jej wykup praw propinacyjnych za 1 milion złr. rocznie przez lat 23. Jest to podarek dla kraju, ale napiwek dla właścicieli ziemskich, wyraźnie noszący cechę „stuligębnego.“

Delegacye wspólne zebrały się na naradę. Prezesem jednej wybrano Smolkę, drugiej — Tiszę (brata ministra). Obaj przewodnicy zapowiedzieli zgodnie z mową tronową, że głównem zadaniem rozpraw będzie wytrząsanie guldenów z kieszeni narodu do kas wojskowych.

Bułgarya dała znać o sobie. Opór ks. Ferdynanda w zatwierdzeniu wyroku na majora Popowa wywołał gniewy i pogróżki ze strony jego politycznych przeciwników, sięgające aż do ministeryum. Sprawa ta jeszcze niezałatwiona, a kipi coraz gwałtownej.

Pomimo Filokomesów watykańskich, wprawiających w ruch swe zardzewiałe grzmoty, Izba włoska uchwaliła paragrafy nowego kodeksu, grożące karami duchowieństwu za przestępstwa polityczne. Kodeks ten zniósł karę śmierci.

P. Tadeusz Rutowski, obrońca podatku wódczanego w wiedeńskiej Radzie państwa, ma zostać docentem ekonomii politycznej

KULT BOHATERÓW

Tomasza Carlyle'a.

(URYWKI).

II.

Bohater—Bóstwo, Bohater — Prorok, to wytwory wieków średnich i nie mogłyby powtórzyć się w nowych czasach. Potrzeba dla nich pewnej surowości pojęcia, której postęp czystej wiedzy naukowej kładzie kres. Potrzeba, że tak powiem, świata ogołoconego z form naukowych, ażeby ludzie w swym podziwie i swej miłości mogli wyobrażać sobie, że ich bliźni jest bogiem, albo też rozmawia z głosem boga. Bóstwo i Prorok minęły już. Teraz winniśmy szukać naszego Bohatera w mniej ambitnym, ale też i w mniej wątpliwym charakterze Poety; jest to postać nieprzemijająca. Wieszcz jest figurą heroiczną, należącą do wszystkich wieków, którą, gdy raz została stworzoną, posiadają wszystkie wieki, którą wytworzyć może zarówno najnowszy, jak i najbardziej zamierzchły — i wytworzy też, ilekroć spodoba się Naturze. Niechaj jeno dusza Bohatera zesłaną zostanie przez naturę — w żadnym wieku nie jest niemożliwem, by przybrała ona formę Wieszcza.

Bohater, Prorok, Wieszcz — tyle to różnych imion, w rozmaitych czasach i miejscach, nadajemy w rzeczy samej Wielkim Ludziom; stosownie do odmian, które w nich spostrzegamy, stosownie do sfery, w której się rozwinęli! Moglibyśmy dawać o wiele więcej imion, według tej samej zasady. Zauważę jeszcze wszelako, jako fakt, którego zrozumienie ma bardzo wielką doniosłość, iż różnica sfery stanowi główny początek podobnego odróżniania, że Bohater może być Wieszczem, Prorokiem, Królem, Kapłanem, zależnie od tego, w jakiego rodzaju otoczeniu ujrzał światło dzienne. Wyznaję, że nie mam żadnego pojęcia o człowieku prawdziwie wielkim, któryby nie mógł być *wszystkimi* rodzajami człowieka. Poeta, co potrafi tylko siedzieć na swym fotelu i komponować stance, nie stworzy chyba nigdy stancy wielkiej wartości. Nie mógłby on opiewać Bohaterskiego wojownika, gdyby sam nie był co najmniej, równie Bohaterskim wojownikiem. Wyobrażam sobie, że jest w nim i Polityk i Myśliciel, Prawodawca i Filozof; w tym czy innym stopniu mógłby zostać lub jest już wszystkiem tem razem. Tak samo nie mogę pojąć, jakim sposobem taki Mirabeau, jakim sposobem to wielkie rozżarzone serce, z tym ogniem, który nosił w sobie, z tymi wybuchami łez, które nosił w sobie — mógłby być niezdolnym do pisania wierszy, tragedyj, poematów i do rozrzewniania niemi wszystkich serc — gdyby bieg jego życia i jego wychowania zwróciły się były w tym kierunku. Główną cechą, cechą wielką dla Wielkiego Człowieka oto jest: ażeby człowiek był wielkim. Napoleon ma w sobie wyrazy, które są jako Batalie Austerlickie. Marszałkowie Ludwika XIV są również pewnego rodzaju ludźmi poezyi; to co mówi Turenniusz, jest pełne rozumu i genialności, tak jak to co powiedział Samuel Johnson. Wielkie serce, jasne oko, przenikające wszystko do głębi: wszystko to jest tam: żaden człowiek w żadnym kraju nie osiągnie nic bez tych rzeczy *).

Petrarka i Boccacio pełnili misye dyplomatyczne, o ile się zdaje, całkiem dobrze: łatwo to zresztą pojąć; dokonali oni przecież nietylko takich rzeczy. Burns, pieśniarz natchniony, potrafiłby zrobić jeszcze lepszego Mirabeau. Szekspir — niewiadomo, czegoby *on* nie potrafił dokonać, w stopniu najwyższym.

—

*) U Carlyle'a ulubione jego wyrażenia: „widzieć,“ „szczery“ itp. mają daleko rozleglejsze znaczenie, niż w zwykłem użyciu; są to dla niego *stany psychiczne* najwyższego przejęcia się ideą, bezpośredniego, żywiołowego, niemal ekstatycznego, w porównaniu z którem wzrok nauki jest ślepotą, a prawda nauki — kłamstwem i obłudą. (*Przyp. tłom.*).

przy Politechnice lwowskiej. Więc dopiero ten występ ujawnił jego zdolności profesorskie?

ŻYCIE SPOŁECZNE.

LISTY KRAKOWSKIE.

Bez spółzawodnictwa. — Wiara go zgubiła. — Dla oświaty.—Dla dobra ludów.— Papież pod opieką.— Za co polegli?— Z teatru.— Pomnik Kaźmierza Wielkiego.

Prasę warszawską przywykliśmy uważać za modłę, według której kleimy galicyjskie cacka; tem większem było zdziwienie, kiedy w zapowiedzi nowego dwutygodnika *Świat* wyczytaliśmy obietnicę nadzwyczajności i niespółzawodniczenia z tygodnikami warszawskimi. Nadzieja, że przy ulicy Szpitalnej zabłyśnie oryginalna krakowska samodzielność, opromieniła nas zadowoleniem. W miarę wychodzących numerów ukazywały się artykuły, wszystkie z uznaniem dla wydawcy, chociaż niektóre ograniczyły się na pochwaleniu papieru, druku i obrazków. Rzeczywiście nakład był nadzwyczajny a druga część zapowiedzi zaczyna się sprawdzać w ostatnich numerach. Prosząc czytelników o cierpliwość, (pewien jestem, że jej nie pożałują) przepisuję dosłownie:

„zauważyliśmy z przyjemnością, iż jedna z artystek miejscowych p. Ż. mało dotąd *obsadzana*, złożyła dowody niezaprzeczonych zdolności itd.“

Sprawozdanie z *Potępionej*, komedyi w 4 aktach, brzmi tak: „Jest to pierwsza sztuka kobiety widocznie bardzo młodej (?!), która tylko intuicyjnie ponickąd odczuła *arkana* scenery, a kompozycyę swoją, z wielu względów bardzo udatną, realistyczną, lecz i estetyczną zarazem, stworzyła z naiwnością pełną rzeczywistego i oryginalnego talentu, a zarazem z *hardiessą* na którąby się wytrawny robotnik teatralny nigdy nie zdobył i nigdy nie odważył. Nie ma śladu naśladownictwa. Wszystko wzięte z natury lecz obserwowane okiem przywykłem patrzeć ładnie (!), że się tak wyrażę dystyngowanie (!), nie powierzchownie, nie karykaturalnie, nie po parafiańsku, bez schlebiania nizkim instynktom i zaułkowej estetyce. Małomiasteczkowa gburowatość, parodiująca w lichych kopiach pyszne wzory, nie ma tu miejsca wcale. Brak krytycznego uznania dla wykwintności obserwacyjnej byłby dla nas smutnym dowodem zdziczenia obyczajowego, świadczącego, że wszystko, co tchnie dobrem wychowaniem, poczytujemy nie za swoje lecz za francuzkie, a teatr i jego literaturę naginamy do brutalnego kierunku, w którym możliwem byłoby jedynie malowanie sfer pokrewnych knajpie, kawiarni i szynkowni t. j. widnokręgów, jakie tępe zakreślają oczy.“

Proszę doszukać się sensu w tej kołowaciźnie. Wyrażenia jak: utopijna ekscentryczność, wyżyny aspiracyi kobiecych, parafiańska produkcya dramatyczna, brak ensemblu, sceny ekspozycyjne, traktowanie aktu — mile drażnią uszy polskich czytelników. Wydawca słowa dotrzymał, nie masz tu współzawodnictwa z tygodnikami warszawskimi.

Podobną niespodzianką było nagłe usunięcie z posady starosty tarnowskiego za to, że wierząc postanowieniom konstytucyi o swobodzie zgromadzeń, puścił bieg wolny rozprawom na sejmiku relacyjnym. Zgubiła go wiara nadnaturalna i padł ofiarą marnej sprawy gorzelnianej.

Większego całopalenia łaknie minister oświaty; p. Gautsch chce uwolnić z służby pomocników nauczycieli przy gimnazyach, którzy nie mają egzaminów profesorskich. Tych jest w kraju do stu, a wszyscy przeciążeni pracą z powodu dojmującego braku nauczycieli. Cel rozporządzenia widoczny; z chwilą usunięcia pomocników, nastąpić musi zwinięcie klas równoległych a z tem i zmniejszenie liczby uczniów. Oto figiel, którym p. Gautsch chce położyć kres nadmiernemu wytwarzaniu inteligencyi.

Szkoda, że minister mniej ma szczęścia, niż fantazyi.

Ministrowie nie próżnują; p. Dunajewski przypomniał się rodakom podniesieniem ceny tytoniu i cygar w stosunku tak nieodpowiednim, że przypuszczać należy, iż działał tu jedynie dla dobra ludów monarchii a dla ziomków w szczególności. Z oszczędzonych pieniędzy urosną kapitały, które będą kamieniem węgielnym pod skarbiec narodowy; balsamiczną woń lasów, jako niepotrzebną dla zdrowych oskrzeli galicyjskich za drogie pieniądze wysyłać będziemy za granicę a za lat kilka przy podobnym podwyższaniu podatku, pokazywać będą u nas „człowieka z cygarem“ jako nadzwyczajność.

Proszę wierzyć tymczasem na słowo, że ministrowie rodacy na dnie swoich *operacyj* mają ukrytą miłość dla kraju i poczciwych ziomków a bolesne podskubywanie galicyjskiej gęsi na pierzynę rządową jest dowodem walki zimnego rozsądku z gorącą miłością dla kraju. To dyplomacya, za którą kryje się... coś.

Nazywali Kraków małym Rzymem i uwierzył. Ochota bierze przytoczyć wykrzyknik z Mickiewicza, ale boję się, żym nie przyśpieszył budowy pomnika, wolę natomiast poprosić czytelników, żeby zechcieli fantazyą cofnąć się wstecz, choćby w czasy inkwizycyi. Gdyby ten Kraków obrócił się jak żona Lota i spojrzał za siebie na stertę głupstw popełnionych, minister skarbu zatarłby ręce z radości; a jeżeli panowie układający w angielskim języku przewodnik po Krakowie zechcą skorzystać z następującej notatki — nie mam nic przeciw temu.

Wiele spraw przyjmowało się na wzruszonej kretowiną glebie galicyjskiej, chwast niepleniony wybujał i okradał pożyteczną roślinę, a co samo do nas nie szło, chwytaliśmy, wmawiając w siebie i innych, że to nas właśnie obchodzi.

Pielgrzymka galicyjska z powodu jubileuszu Leona XIII uległa należytemu ocenieniu przez prasę nie-klerykalną, dzienniki jezuickie i t. zw. zachowawcze oświeciły ją ogniem różnokolorowym. Po wymianie poglądów, sprawa watykańska, wyczerpana, ustąpiła miejsca innym. Tymczasem Kraków zachowawczy, ruchliwy jak koń drewniany w karuzelu, przyszedł do przekonania, że działanie Leona XIII — to interes narodowy, że dzisiejszy papież — to ideał ludzkości, słowem, że czołem nam przed dyplomatą, świętopietrzem za jego uśmieszek, a karabelą w łeb choćby rodzonego brata, jeżeli śmiał ozwać się inaczej. I dobyli karabel piernikarz, jubiler, stolarz, budowniczy, hrabia, kilku niemców kupców, podpisując w *Czasie* artykuł, w którym oburzają się na jedno z pism tutejszych z powodu śmiałego wystąpienia w czasie pielgrzymki jubileuszowej. Pismo to, broniąc prawdziwych interesów narodowych, nie wahało się nigdy rzucić rękawicy stańczykom i jezuickiej polityce, więc też i w pamiętnej sprawie watykańskiej powiedziało słowa prawdy, nie oszczędzając przywódców i zaślepionego tłumu. Nu-

---

Poeta i Prorok, według rozlazłych pojęć naszego czasu, różnią się wybitnie. W niektórych starych językach tytuły są jeszcze synonimiczne; *Vates* oznacza jednocześnie Proroka i Poetę *); i zaiste po wszystkie czasy Prorok i Poeta, jeśli ich dobrze zrozumieć, byli połączeni blizkiem pokrewieństwem treści. W gruncie rzeczy, doprawdy, jest to jeden i ten sam człowiek; specyalnie zaś z tego bardzo ważnego punktu widzenia, że obadwaj przeniknęli świętą tajemnicę Wszechświata; to, co Goethe nazywa „jawnym sekretem.“ „Gdzie ów wielki sekret?“ — zapyta kto. „Sekret *otwarty*, otwarty dla wszystkich, widzialny dla każdego niemal!“ Jest to owa boska tajemnica, która tkwi wszędzie, we wszystkich jestestwach. „Boska Idea Świata,“ co tkwi „pod Powierzchnią,“ jak ją nazywa Fichte; której wszelki Pozór, począwszy od nieba gwiaździstego, a kończąc na trawce polnej, a specyalnie Pozór Człowieka i jego dzieł, są tylko zwierzchniemi *szatami*, wcieleniem, które czyni ją widomem. Ta boska tajemnica *jest* po wszystkie czasy i we wszystkich miejscach, zaprawdę jest. W większości czasów i miejsc bywa ona grubo zapoznawaną.

—

Składam Dantemu najwyższy mój hołd, gdy mówię o jego *Boskiej komedyi*, że jest we wszelkiem znaczeniu i naistotniej Pieśnią. Nawet w dźwięku, który wydaje ona, jest jakiś *canto fermo*; działa jak gdyby śpiewem. Bez wątpienia sam język, ta prosta jego *terza rima* był mu w tem pomocnym. Całość czyta się naturalnie z rodzajem jakiejś *psalmodyi*. Ale dodam, że inaczej być nie mogło; albowiem istota i materya dzieła są same przez się pełne rytmu. Jego głębia, jego namiętność, dająca się porywać, jego szczerość czynią dzieło muzykalnem; wniknijcie tylko dosyć *głęboko*, a muzykę znajdziecie wszędzie. Prawdziwa symetrya wewnętrzna, to co nazywają harmonią architekturalną, panuje w niem i proporcyę nadaje całemu utworowi: słowem symetrya architekturalna. Trzy te królestwa, *Piekło*, *Czyściec i Raj* widzi się jedno nad drugiem, jak gdyby trzy oddziały wielkiej jakiejś budowli. Stoi tam wielka i nadprzyrodzona Katedra świata, surowa, uroczysta, straszna: Świat Duchów podług Danta! Jest to w gruncie rzeczy *najbardziej szczery* ze wszystkich poematów — znajdujemy, że i tutaj także szczerość jest miarą zasługi. Wyszedł on z głębi serca serc autora; to też przenika głęboko i po przez długie pokolenia, aż do naszego. Mieszkańcy Verony, ujrzawszy go na ulicy, mieli zwyczaj mówić: *Eccovi l'uom ch'è stato all'Inferno*; „Patrzcie, oto człowiek, co był w Piekle!“ Ach! tak, on był w Piekle, Piekła miał pod dostatkiem, w walce, w boleściach długich i srogich—jak pewnem jest, że i podobni mu tam byli. Komedye, co się objawiają *bosko*, nie dają się wykonać inaczej. Myśl, prawdziwa męka wszelkiego rodzaju, sama nawet cnota najwyższa — azaliż nie jest córą Boleści. Zrodzona jak gdyby z czarnego odmętu; prawdziwy w rzeczy samej wysiłek, jak gdyby jeńca borykającego się dla odzyskania swobody: oto Myśl. „Idziemy do doskonałości przez *cierpienie*.“ Ale, jak powiedziałem, nie znam dzieła, które byłoby tak wypracowanem, jak to dzieło Danta. Było ono całe jak gdyby stopione, w najbardziej rozpalonym tyglu jego ducha. „Wychudziło“ go ono na długie lata. Nietylko całe dzieło w ogólności, lecz każda jego cząstka wykonana jest z natężonym zapałem, tak dalece, że stała się prawdą, jasną widocznością. Każda z nich odpowiada drugiej; każda pasuje do swego miejsca, jak płyta marmuru starannie ociosana i wygładzona. Jest to dusza Danta, a w niej dusza średnich wieków, na zawsze uwidoczniona rytmicznie. Nie jest to bynajmniej zadanie łatwe; zadanie to wielkiej potęgi, ale zadanie *spełnione*.

Powie kto może, że *natężenie* ze wszystkiem, co z niego wypływa, stanowi rys przeważający w geniuszu Danta. Dante nie przedstawia się nam jako szeroki umysł katolicki; raczej jako umysł ciasny, a nawet sekciarski: jest to po części owoc jego epo-

*) Język nasz wybornie powinowactwo to określa słowem „wieszcz.“ (*Przyp. tłom.*).

mer rozkupiono, ale równocześnie księża wypowiedzieli wojnę, łagodniejsi polecali liberała i gorszyciela modłom o nawrócenie, żarliwsi wyklęli z ambony.

Po owem *veto*, jakie „bracia szlachta“ położyła w *Czasie*, nie ukazała się ani wzmianka w t. zw. postępowej prasie galicyjskiej, a przecież jeżeli pierwotnie na sztandarach swoich wypisali: *prawda* — było to ich obowiązkiem.

Czy uwierzycie, biskup krakowski podczas uroczystej procesyi od ołtarza wzywał tłum kilkotysięczny, aby pod utratą zbawienia pisma tego nie prenumerował.

Gdzież jesteśmy? W Europie? Nie uwierzę.

Doskonała jest historya zbierania owych podpisów. Hrabina X. przyjeżdża do jubilera i prosi o podpis, który przeszkodzić ma zamachowi na kościół, złotnik podpisuje, nie czytając, bo to klientka korzystna. Hrabina zajeżdża do piernikarza, który olśniony, do słowa przyjść nie mogąc, z ochotą wstępuje w szranki kościoła wojującego. Korzennika poprosił hrabia i mówił mu przez cały czas „ty“ — podpisał, nie czytając; podwładnego dyrektor, a ślepego kulawy i tak powstał dokument, od którego woni kwiat żółknie, drzewo usycha, a zwierzę domowe czuje się niezdrowem.

Odetchnijcie czytelnicy i zapomnijcie o czasach inkwizycyi, zanotuję coś weselszego. W miasteczku Dobczycach żandarmi zastrzelili dwoje ludzi, dlatego, że gmina nie chciała dopuścić do licytacyi pastwisk— wszak prawda, że ładne te obrazki galicyjskie? Zjechały komisye, protokóły przerosną dzwonnicę wiejskiego kościołka, a sierotom każą zapomnieć, że im matkę zastrzelili. I nie miałby tu chłop nabrać zaufania do noweli drogowej?

Szeregiem gościnnych występów p. Tatarkiewicza teatr zakończył widowiska; prasa nie szczędziła pochwał, publiczność zachwytu i oklasków, a przyjaciele upominków. Publiczność krakowska, która tak dawno nie widziała na scenie swojej artysty, zasmuciła się, że teatr polski od nas tak daleko. Innego zdania był jeden z aktorów, który w poczuciu swej wielkości zaśpiewał na nutę krakowiaka: „albośmy to jacy tacy“ i gościowi warszawskiemu odmówił współudziału. O tryumfach już zapomniano, zaćmił wszystkich cielisty trykot p. Zimajerowej, któremu przypadło w udziale przywrócenie do porządku zrujnowanych wątrób stańczykowskich.

Cyfra pomników krakowskich zaokrągli się: komitet izraelski dokłada starań, by zamierzony pomnik Kazimierza Wielkiego stanął niebawem; rzeźbiarz Lewandowski podjął się ofiarnie tego dzieła, które ma powstać za grosz nieobfity.

Mor.

BADANIA NAUKOWE.

FILOZOFIA.

J. Sergi. *Psychologie physiologique*, trad. de l'Italien Paris, 1888.

(Dokończenie).

Taką jest w najpoważniejszym zarysie teorya autora, stanowiąca największą oryginalność jego dzieła. Czy zostanie ona przyjętą przez naukę? Przyszłość na to odpowie. Tymczasem można o niej to tylko powiedzieć, że jak z jednej strony więcej ma za sobą prawdopodobieństwa, niż teorya Lotzego, dotycząca miejscowej barwy wrażeń dotykowych i wzrokowych, tak z drugiej — jedynie jest racyonalną i zgodną z obecnem stanowiskiem fizyologii, oraz psychologii, które klucza do rozwiązania swych zagadnień szukają w prawach naturalnych i odrzucają wszelkie wyjaśnienia, nacechowane nadnaturalnością, noszące znamię przedustawnego aktu.

Zasługuje także na uwagę ustęp, poświęcony teoryi poznania, w którym spotykamy kilka oryginalnych myśli. Wprawdzie nie zmieniają one istoty rzeczy i wyłożona przez S. teorya niczem się nie różni od powszechnie przyjętej; w każdym razie znacznie przyczyniają się do jej wyrozumienia. Żałować tylko należy, że się nie starał rozwinąć jej pełniej, że poprzestał tylko na kilku ogólnych wzmiankach o takich formach myślenia, jak: sąd, wniosek, które przecież tylko ze stanowiska psychologicznego mogą być zrozumiane co do swej natury.

Nadmieniłem już wyżej, że dział o uczuciach opracowany jest z większą systematycznością i pełnością, niż w którejkolwiek innej psychologii. Korzystał autor z najnowszych prac pod tym względem i starał się wiernie przedstawić obecny stan wiedzy. Że zaś badania nad uczuciami stanowią najsłabszą stronę psychologii współczesnej, dziwić się więc nie można, że i wykład autora zawiera w sobie pewne wady i niedostatki.

Dwa są główne zagadnienia, z któremi psychologia uczuć nie może dotąd ostatecznie załatwić się; pierwszem jest pytanie: co stanowi istotę uczuć, z jakim faktem fizyologicznym potrzeba łączyć uczucie przyjemności, a z jakim uczucie przykrości? Drugie ściąga się do klasyfikacyi, a mianowicie: na jakiej oprzeć ją zasadzie? Na oba te pytania mamy tyle różnorodnych, sprzecznych nieraz odpowiedzi, że nie łatwo zdać sobie z nich sprawę i wyrobić sobie o rzeczy jakiekolwiek pojęcie. Nie można się więc dziwić, że i Sergi tych wątpliwości nie rozproszył. Co się tyczy klasyfikacyi uczuć, to pod tym względem nie zadaje on sobie żadnej pracy, lecz wprost przyjmuje podział Spencerowski, chociaż wyznaje, że ma on wartość socyologiczną i tylko tymczasowo — w braku lepszego — może być przyjętym. Przeciwnie pierwszem zagadnieniem zajął się gorliwie — i niezadowolony z danych na nie dotąd odpowiedzi, usiłuje je rozwiązać w sposób sobie właściwy.

Wychodzi z założenia następującego: pierwiastki uczucia istnieją we wrażeniach zmysłowych, które mają dwie strony: przedmiotową, stanowiącą postrzeżenie i podmiotową, będącą uczuciem. Jakkolwiek uczucie zdaje się być niezależnem od świata zewnętrznego, pozostaje z nim przecież w ścisłym związku za pośrednictwem postrzeżenia. Postrzeżenie nadaje formę uczuciu; uczucia, którym postrzeżenia nie towarzyszą, są nieokreślone, jak np. uczucia organiczne. Czemże jest uczucie? Jest ono wypadkową starcia się, walki dwu sił: zewnętrznej, czyli czynników fizycznych i wewnętrznej, właściwej organizmowi żyjącemu. Zwycięztwo zewnętrznej daje początek uczuciu przykrości, zwycięztwo wewnętrznej — przyjemności. W dalszym ciągu, wykazawszy celowość uczuć, będącą następstwem przystosowania organizmu do warunków bytu, powyższą zasadę wyjaśnia bliżej, mówiąc, że czynniki zewnętrzne, do których organizm przystosował się, dopomagają mu do osiągnięcia celu, jakim jest zachowanie bytu osobniczego i gatunkowego i w ten sposób powiększają zasób wewnętrznej siły; przeciwnie, czynniki, do których organizm nie przystosował się, przeszkadzając mu w osiągnieniu jego celu,

---

ki i jego położenia, ale po części także własnej jego natury. Wielkość jego ześrodkowywa się bądź co bądź w głębokości i w energii ognia. Jest wielki jak świat, nie przeto, by był rozległym jak świat, lecz że jest głębokim jak świat.

Kto rozumnie zastanawia się nad Szekspirem, poznać może, że on także był *Prorokiem*, jeno na swój sposób; prorokiem o intuicyi analogicznej z Proroczą, chociaż rozpoczął ją z innego całkiem tonu. I temu człowiekowi Natura wydawała się Boską; niewysłowioną, głęboką jak Tophet, wysoką jak Niebiosa: „Myśmy z tej samej materyi, z której tkane są sny!“ To godło w Opactwie Westminsterskiem jest tak głębokie, jak ten, kto *widzi*, chociaż niewielu, czytając, rozumie je. Ale człowiek ten śpiewał; nie prawił kazania, chyba że muzycznie. Nazwaliśmy Dantego melodyjnym Prorokiem Katolicyzmu Średnich Wieków. Czyż nie możemy nazwać Szekspira jeszcze bardziej melodyjnym Prorokiem *prawdziwego* Katolicyzmu, „Kościołem Powszechnym“ czasów Przyszłych i wszystkich wogóle czasów? Ani śladu ciasnego zabobonu, cierpkiego ascetyzmu, nietolerancyi, fanatycznego szału lub przewrotności... Możemy powiedzieć bez obrazy, że z tego Szekspira wznosi się także ku górze coś niby Psalm powszechny, a nie jest on niegodnym tego, by go słuchać na równi z innymi, świętszymi jeszcze Psalmami. Nie w dysharmonii z tymi ostatnimi, jeżeli je zrozumiemy dobrze, lecz w harmonii! Nie mogę nazywać tego Szekspira „Sceptykiem,“ jak to czynią niektórzy; indyferentyzm wobec wierzeń i sporów teologicznych jego czasu nie prowadził go bynajmniej na manowce. Nie: nie nazwę go niepatryotą, jakkolwiek mało mówi o swoim Patryotyzmie; ani sceptykiem, jakkolwiek mało mówi o swej Wierze. Taki „indyferentyzm“ był również dobrze owocem jego wielkości: całe jego serce było w jego własnej i wielkiej dziedzinie czci (tak możemy ją nazwać); a owe inne sprzeczności, żywotnej doniosłości dla innych ludzi, nie były zgoła żywotnemi dla niego.

Lecz nazwijcie to czcią, uwielbieniem, nazwijcie jak chcecie, czyż to, czem nas obdarzył Szekspir, nie jest rzeczą sławną, albo raczej całym zbiorem rzeczy? Co do mnie, czuję, że jest ostatecznie coś świętego w fakcie, iż podobny człowiek zesłany został na Ziemię. Czyż nie jest on dla nas wszystkich okiem? Dawcą Światła błogosławionym, zesłanym z nieba? A w gruncie rzeczy nie byłoż to o wiele cenniejszem, że ten Szekspir, w każdym razie człowiek nieświadomy, nie miał *świadomości* żadnego posłannictwa Niebiańskiego? Jemu nie zdawało się, jak Mahometowi, że, ażeby przeniknąć owe Blaski wewnętrzne, specyalnie mianowany został „Prorokiem Boga“: i czyliż nie był w tym względzie o wiele większym od Mahometa? Był większym; a nadto, jeżeli obliczymy dokładnie, tak jakeśmy to uczynili i z Dantem — i bardziej szczęśliwym. W istocie swej bowiem błędem była owa idea Mahometa o jego wyższej misyi Proroczej; to też przybyła ona do nas nierozwiązalnie oplątana aż po dziś dzień błędami; wlokąc za sobą taką wikłaninę baśni, nieczystości, nietolerancyj, że staje się dla mnie rzeczą godną namysłu, czy mogę tutaj i teraz nazwać Mahometa prawdziwym Głosicielem, jakem to uczynił wprzódy, zamiast raczej ambitnym szarlatanem, przewrotnością i widmem: nie Głosicielem, ale Gadułą! Nawet w Arabii, według obliczeń moich, Mahomet się wyczerpie i przeżyje, podczas gdy taki Szekspir, taki Dante mogą na zawsze pozostać młodymi; podczas gdy taki Szekspir może zawsze pretendować do miana Proroka Ludzkości, zarówno Arabii, jak i wszystkich innych miejsc, na nieograniczone okresy jutra!

—

Biedny Cromwell—wielki Cromwell! Nieartykułowany Prorok! *), Prorok, który nie

*) Wyraz *nie*artykułowany należy również do owego szeregu symbolów *wewnętrzności*, szczerości — w przeciwstawieniu do formy, gadulstwa itd. (*Przyp. tłom.*).

narażają go na marnowanie swych sił, wyczerpują go.

Zasada ta wydaje mi się nieco za sztuczną i naciąganą, a w każdym razie tłomaczy co najwięcej ukształtowywanie się uczuć, ale nie ich początek, nie ich ostateczną przyczynę. Tej potrzeba szukać wewnątrz samego organizmu, w tych jego sprawach, które stanowią niejako istotę życia. Biologia nas uczy, że życie polega na ciągłej przemianie materyi i siły, na ciągłem ich zużywaniu i wynagradzaniu. Otóż stosunek, jaki zachodzi między rozchodem a przychodem energii życiowej w organizmie, jest podstawą uczucia. Stosunek ten uregulowuje się zapomocą czynności organów, pobudzanych do ruchu przez wrażenia. Bezpośrednią więc przyczyną naszych jest działanie. Czynność umiarkowana jest źródłem przyjemności dodatniej; nadmierna — przykrości dodatniej; brak czynności pociąga za sobą przykrość ujemną, wypoczynek — przyjemność ujemną.

Taką jest zasada, wypowiedziana przez Spencera, a uzupełniona i uzasadniona ostatecznie przez Dumonta i Grota — zasada, jak obecnie, jedyna, która bez naciągania i pedanteryi da się zastosować do wszelkich objawów uczucia.

Przykrość i przyjemność uważa autor za dwa bieguny, między którymi leży pas graniczny, zajęty przez uczucia obojętne. Te nie są czem innem, tylko przejściową fazą, którą przebywają uczucia przyjemne, zanim staną się przykremi i przykre — zanim staną się przyjemnemi. Temu pojmowaniu rzeczy codzienne doświadczenie stanowczo przeczy. Są uczucia obojętne, które obojętnemi zawsze pozostają, przyjemne zaś, gdy ich nadużywamy, stają się odrazu przykremi, zarówno jak i przykre — przyjemnemi. Naturalnie, są tu pewne stopnie przyjemności i przykrości; ale choćby nawet do minimum były doprowadzone — nie są one jeszcze obojętnością. Palacz tytoniu doznaje zrazu przykrości; w miarę zaś, jak przykrość zmniejsza się, odczuwać on zaczyna przyjemność, nie przechodząc bynajmniej przez fazę obojętności.

Najbardziej zajmującą i pouczającą częścią z całego rozdziału o uczuciach jest ta, w której autor zajmuje się analizą szczególnych. Miał tu wprawdzie za przewodnika Baina, z tem wszystkiem zachował swą samodzielność i niejedną szczęśliwą uwagą i trafnem spostrzeżeniem wzbogacił psychologię. Najobszerniej opracował uczucia artystyczne, zużytkowawszy w tem wyniki badań Helmholtza i Sullego. W ogólnem zaś zapatrywaniu na sztuki piękne wychodzi on z zasad Spencera.

W dziale, poświęconym rozbiorowi woli, na szczególne zasługują uwzględnienie ustępy, w których rozstrzyga sporną kwestyę między determinizmem a wolną wolą i wykazuje, na czem należy opierać prawną odpowiedzialność człowieka.

Rzecz naturalna, że wolną wolę odrzuca, jako czystą niedorzeczność. Wolność można przyznać tylko człowiekowi, nie zaś woli, która jest grupą zjawisk złożoną. Wolnym jest człowiek o tyle, że może robić to, co chce, lub też powstrzymywać się od tego, ale nie jest wolnym chcieć w danej chwili tego lub owego. Chęci, pragnienia nie od niego zależą, powstają w nim i giną mimo jego woli i wiedzy. Pośrednio może on do pewnego stopnia wytworzyć je sobie, ale tylko przez dłuższą pracę nad sobą, stawiając się w odpowiednich warunkach życia i to w takim tylko razie, gdy od urodzenia ma już w sobie zarody pewnych uczuć. Kto nie przyniósł na świat usposobienia do pewnych uczuć, uczuć tych i związanych z niemi chęci i pragnień nie dozna on w życiu nigdy, chociażby się znalazł w otoczeniu najbardziej ich rozwojowi sprzyjającem.

Cóż zapewnia wartość człowiekowi, kiedy może on być uznanym za istotę prawdziwie wolną. Nie wola, w oderwaniu wzięta, która jest czynnikiem ślepym, ale rozum. Rozumem poznaje człowiek, jakie jest jego stanowisko w świecie, jakie są następstwa tych i owych czynów i zapomocą jakich środków dają się osiągnąć zamierzone cele. Im głębiej człowiek poznał samego siebie, naturę swych uczuć i warunki ich objawiania się, tem łatwiej potrafi zapanować nad swymi popędami i nadać kierunek swym czynom zgodny z zadaniami życia. Człowiek więc jest wolny wtedy, gdy rozumnie działa, gdy postępuje w życiu, kierując się znajomością praw natury, tudzież, gdy umie sobie zdać sprawę ze spodziewanych następstw swego postępowania.

Odpowiedzialnym jest on głównie za to, że dopuszcza się czynów, o których rozum powiada mu, że są złe, szkodliwe, bądź dla niego, bądź dla innych. Stopień pojętności stanowi tu o stopniu winy.

Takie są ważniejsze punkty w dziele Sergiego, zasługujące na podniesienie. Pisząc o nich, miałem głównie na uwadze, ażeby wykazać nie to, co stanowi największą jego zaletę, ale to, co jest w niem oryginalnego, choć może nie zupełnie trafnego. O jego zaletach zmuszony jestem poprzestać na ogólnikowych orzeczeniach, gdyż wdając się pod tym względem w szczegóły, mógłbym zajść bardzo daleko i zanadto przekroczyć miarę sprawozdania, które i tak przybrało zakres zbyt wielki. Pozwalam tu sobie tylko dodać, że zalety dzieła Sergiego są wielkie, że z najgorętszem upragnieniem należałoby czekać, ażeby jaknajrychlej zostało przyswojonem naszej literaturze. Więcej by ono przyniosło pożytku naszemu społeczeństwu, niż całe tuziny takich dzieł, jak psychologia Murray'a, która ani pod względem wykładu, ani treści nie zasługiwała tak bardzo na tłomaczenie.

Władysław Kozłowski.

Z SALI ODCZYTOWEJ.

Al. Jawornicki, *O Afryce zachodniej.*

Do Afryki udają się przeważnie albo misyonarze, albo kupcy. I pierwszych i drugich cel podróży jasny a zrozumiały. Niewielka tylko ilość ludzi naraża się dobrowolnie na niebezpieczeństwa i trudy, by kraj poznać, z idealnym zamiarem w sercu, bo z zamiarem napisania „książki.“ Do tych ostatnich, o ile z półsłówek było można poznać, należy i sam prelegent, który w d. 8 i 9 b. m. publicznie zdawał obrachunek z plonów dziesięciomiesięcznej wycieczki.

Wysłuchaliśmy tego sprawozdania i doznaliśmy zawodu; na ten jednak z góry byliśmy przygotowani. Owe odczyty były tylko ponownym przykładem, jak nasi reporterzy umieją dąć w róg reklamy, by muchę wydąć do rozmiarów wołu. Pogadanki p. Jawornickiego nie przyniosły nam nic nowego, niewiele nauczyły słuchaczów. Podróże w kraje nieznane, jeżeli są przedsiębrane w imię nauki, powinny dzisiaj przedewszystkiem powiększać zapas cegieł, z których np. socyolog umiejętną ręką wznosi budynek nauki o społeczeństwach. Tutaj należą wierzenia religijne i zwyczaje krajowców, ich urządzenia państwowe lub ich zarodki, formy prawne, sposób prowadzenia handlu itd. Lecz, by z istotną korzyścią dla wiedzy zbierać surowy chociażby

---

umiał *mówić*. Prosty, zmieszany, mozolący się, ażeby znaleźć odpowiedni wyraz, ze swą dziką głębokością i pierwotną szczerością: jakże dziwnie wyglądał on pośród tych eleganckich Eufemizmów, delikatnych Falklandzików, dydaktycznych Chillinworthów, dyplomatycznych Clarendonów! Pomyślcie jeno o tem. Zewnętrzna powłoka chaotycznej mieszaniny, przywidzeń Djabła, snów nerwowych, prawie że pół-szaleństwo; a przytem taka energia męzka, jasna i stanowcza, pracująca w sercu tego wszystkiego. Coś w rodzaju człowieka chaotycznego. Jak gdyby promień czystego światła i czystego ognia gwiazd, pracujący w takim oto żywiole hypokondryi bez granic, w czarnym bezkształcie ciemności! A jednak przy tem wszystkiem czemże była owa hypokondrya, jeżeli nie samą wielkością człowieka! Głębia i tkliwość dzikich jego uczuć: ilość sympatyi, którą żywił dla rozmaitych rzeczy — ilość intuicyi, którą pragnął jeszcze posiąść, przenikając serca rzeczy — panowanie nad rzeczami, które pragnął jeszcze zdobyć: oto była jego hypokondrya. Niedola człowieka, jak to czyni zwykle niedola człowieka, wychodziła z jego wielkości. Samuel Johnson także należy do tego gatunku ludzi. Rażony bólem, nawpół obłąkany; rozległy żywioł żałobnego *mroku* ogarnia go zewszad, rozległy jak świat. Oto cecha człowieka proroczego; oto człowiek widzący całą swą duszą i walczący po to, ażeby widzieć.

—

Wydałoby się wam może dziwnem, gdybym nazwał Burnsa najlepiej uposażonym ze wszystkich umysłów Brytańskich, jakie mieliśmy w wieku, w którym on żył: a jednak mniemam, iż nadejdzie dzień, w którym bez niebezpieczeństwa będzie można przemawiać w ten sposób. Jego pisma, wszystko to, co *uczynił* pomimo tylu przeszkód — to zaledwie marna cząstka jego. Profesor Stewart zauważył bardzo trafnie, że, co zresztą jest prawdą w odniesieniu do wszystkich Poetów z bożej łaski — poezya jego nie była zdolnością osobliwą, ale ogólną wypadkową umysłu silnego i oryginalnego z natury, w ten sposób ujawniającą się. Dar Burnsa, wyrażający się w jego rozmowach, stanowi wieczny temat dla tych, którzy go kiedykolwiek słyszeli. Są tam wszelkie rodzaje uposażenia: poczawszy od najwdzięczniejszych wyrazów rycerskości aż do najwyższego płomienia namiętnej rozprawy; hałaśliwe fale wesołości, czułe westchnienia uczucia, lakoniczną energię i jasną i przenikliwą intuicyę: wszystko to posiadał. Wykształcone i dowcipne księżne czciły go jako człowieka, którego mowa „porywała je.“ Bardzo to ładne: ale jeszcze piękniejsze to, co opowiada Mr. Lockhardt — to, o czem nieraz wspominałem, jak mianowicie posługacze i chłopcy stajenni w domach zajezdnych wychodzili z swych łóżek i tłoczyli się gromadą, ażeby usłyszeć tego człowieka! Posługacze i chłopcy stajenni: toć i oni byli ludźmi, a to właśnie był człowiek! Słyszałem wiele opowiadań o jego darze słowa; ale najlepsze z tego, com słyszał kiedykolwiek o nim, było to, co mówił mi w roku zeszłym szanowny pewien gentleman, oddawna zaprzyjaźniony z Burnsem. Że mianowicie była to mowa, tem się wyróżniająca, iż *zawsze było w niej coś takiego*. „Mówił raczej mało, niż dużo“ — tak opowiadał mi ów starzec — „zachowywał się w pierwszych dniach dosyć milcząco, jak gdyby w towarzystwie ludzi, których miał za wyższych od siebie; a zawsze, ilekroć zabierał głos, rzucał na kwestyę całkiem nowe światło.“ Nie wiem, jak można było kiedykolwiek utrzymywać inaczej! Ale jeśli rozważycie ogólną jego moc ducha, jego zdrową *krzepkość* pod każdym względem, surową prostotę, dar przenikania, szlachetną siłę i męzkość, jakie w nim mieszkały — gdzież znajdziemy tak łatwo człowieka lepiej uposażonego?

Tłom. *H.*

materyał, trzeba posiadać odpowiednie przygotowanie i wykształcenie. Nie każdemu danem jest być Bastianem, lecz w poglądach p. Jawornickiego czuć było brak treści naukowej, wyglądał szych złocisty, a złota szczerego brakowało. Dlatego też całość wyszła blado, szkicowo, ubogo. Stosunków wszelakich dotykał prelegent zbyt pobieżnie, bo porwał się na zadanie, przenoszące jego siły. Zamiast przytoczyć obszernie znamienne właściwości jednego plemienia, bawił się w charakterystykę na wielką skalę i opowiadał anegdoty, które w chlubnem świetle przedstawiały jego odwagę i zimną krew. Nadto, jak np. przy opowiadaniu o dziejach misyi, spłacał dług naszej „opinii" i dużo rzeczy omawiał lub ich niedomawiał, by nie obrazić przeciętnych pojęć przeważnie niewieściego audytoryum.

Prócz tego i forma i język wykładów wielce szkodziły treści. Prelegent nie przetrawił i tak cienkiej wiązki materyału, nie uporządkował go należycie, stąd chaos w opowiadaniu, nieporządek, powtarzanie jednej i tej samej rzeczy po kilkakroć. Używał często szumnych frazesów, mających uchodzić za poetyczne, które z ust jego wychodziły dziwnie niesmaczno, bo sztywnie, drewniano.

„Wrażenia" swe zakończył przestrogą przed kolonizacyą, lecz zarazem podał warunki, wśród których kolonizacya taka na przyszłość będzie możliwą i znalazłaby powodzenie.

Słuchaczki oklaskiwały go jako bohatera. Nam zaś mimowoli nasunęła się uwaga, że za granicą tysiące ludzi dalsze odbywa podróże, rzeczywiste przysparza dla kraju korzyści, a nikt nie wieńczy ich skroni laurem. Skromny „clerk" angielski często więcej przyczynia się do bogactwa narodowego lub trafnemi spostrzeżeniami do pomnożenia zapasu wiedzy, aniżeli p. Jawornicki; mimo to zaś hymnów pochwalnych nikt mu nie śpiewa.

A. Witski.

KARTKI NAUKOWO-ESTETYCZNE.

Euthanasia. Gdy Byron a z nim i Mickiewicz pod wpływem zawodu sercowego apoteozowali śmierć, jako mającą „mało groźby dla nieszczęśliwych," gdyż „ból jeszcze mniejszy i prędko przeminie," nie myśleli pewnie o tem, że nawet dla najprozaiczniejszych ludzi chwila konania nie jest wcale tak bolesna i okropna, jak się to świadkom jej zdawać myśli. Wymowne dowody na poparcie tej niezupełnie zresztą dla medycyny nowej prawdy zebrał ostatnio w ciekawym tomiku anglik Wiliam Munk. Przytacza on dane o zachowaniu się i usposobieniu wielu konających, odnośne obserwacye, poczynione przez rozmaitych lekarzy a, co ważniejsze, wrażenia człowieka umierającego, opowiedziane przez chorych, którzy stali u progu wiodącym do tamtego świata ale nie zdołali przejść go. Tak np. słynny anatom Wiliam Hunter na łożu śmierci szepтал: „Gdybym mógł utrzymać pióro w ręku, opisałbym, jak łatwo i przyjemnie jest umierać (easy and pleasand)". Admirał Beaufort, gdy był jeszcze młodym marynarzem, wpadł pewnego razu w wodę i pozostawał w niej dosyć długo, w stanie połowicznego utopienia. Opowiada on, że gdy się już całkowicie wyczerpał walką z żywiołem pochłaniającym go: „spokojne uczucie najdoskonalszej ciszy zapanowało całkowicie, nad wzburzonemi czuciami chwili poprzedniej. Nie cierpiałem wcale, przeciwnie, czucia moje były raczej przyjemne i miały coś w sobie z owego uczucia ociężałości połączonej z zadowoleniem, jaka poprzedza sen wywołany zbytniem utrudzeniem." Jednocześnie — gdy umysł jego pokrywał mrok — działalność psychiczna stawała się zadziwiającą; odżyła w pamięci cała przeszłość, niekiedy aż do najdrobniejszych szczegółów, myśli i obrazy następowały po sobie z cudowną szybkością. W miarę, jak powracał do życia, stan ten rozkoszny znikał, ażeby ustąpić miejsca dotkliwym i przykrym wrażeniom pierwotnym oraz ogólnemu bólowi fizycznemu. Fakt ten jest zresztą najzupełniej zgodny z tem wszystkiem, co powszechnie wiadomo o wrażeniach topielców.

Brak męczarni w wielu wypadkach żegnania się z życiem, objaśnia się duszeniem, które pośrednio czy bezpośrednio jest jedną z głównych przyczyn śmierci wszelakiej; ono to jest kresem, do którego zmierza w końcu wszelkie porażenie serca, płuc, czy ośrodków nerwowych. Otóż asfikcya ta działa uspakajająco, znieczula w bardzo znacznym stopniu, choć zarazem pobudza centry nerwowe przed ich sparaliżowaniem. Na tej więc już zasadzie można przypuszczać, że ostatnie stadyum życia, poprzedzające bezpośrednio zgon, nie jest bolesne, pomimo symptomatów zewnętrznych, które zdają się świadczyć o cierpieniach. Symptomata te jednak wskutek zamroczenia narządów i siedliska czucia nie przechodzą zgoła do świadomości.

Ponieważ wypadki śmierci bolesne są przytem dosyć częste — Munk podaje sposoby ulżenia jej. Wielką w tym względzie gra rolę pozycya chorego, światło, zasób powietrza itp. czynniki. Rozumie się, że skorzystać z tych wskazówek mogą tylko lekarze—jakiż bowiem profan znajdzie odwagę czytania choćby przepisu ułatwienia śmierci, gdy chodzi o bliską mu osobę? Któż z nas w takiej chwili nie łudzi się, że natura zrobi dla niego wyjątek z prawa śmiertelności?

Nadczułość w hypnozie. Nadzwyczajna wrażliwość umysłów podczas snu hypnotycznego oddawna już została stwierdzoną, ale przybywają wciąż coraz to nowe jej przykłady, nieprawdopodobieństwem przewyższające wszystkie dotąd znane. Tak np. C. Sanvaire podaje następujące doświadczenia. Jeżeli osobie zahypnotyzowanej wmówić, że na jednej z wielu pokazanych jej jednakowych białych kartek znajduje się taki a taki wizerunek— medyum po przebudzeniu się z łatwością poznaje i wyróżnia z pomiędzy innych ową kartkę. Dziwne to zjawisko objaśniają tem, że zmysły medyum skojarzyły urojony rysunek z pewnymi znakami szczególnemi na odnośnej kartce, tj. punktami, plamkami, zagięciami itp. i że samo dostrzeżenie tychże już wywołuje nanowo wizerunek. Innym razem Sanvaire wmówił zahypnotyzowanej, że na odwrotnej stronie jednej z kart do gry, mianowicie króla treflowego, znajduje się portret dziecka. Gdy jej następnie podał inną zupełnie talię kart, ona z łatwością odnalazła takiegoż króla treflowego, twierdząc, że i na nim figuruje podobizna dziecka. Ponieważ wszystko to odbywało się we śnie a medyum właściwej strony karty, tj. samego króla treflowego żadną miarą widzieć nie mogło, o czem Sanvaire upewnił się dokładnie wieloma jeszcze innymi eksperymentami tego rodzaju, przeto pozostaje jedyne tylko domniemanie, że dla uśpionej dosyć było otaczającego światła, ażeby przy zaostrzonym we śnie wzroku kartę uczynić przejrzystą a rysunek króla treflowego widzialnym. Dlatego to pewnie uśpiona i na innym królu treflowym wrzekomy portret odnajdywała.

Nie mniej zaostrza się w hypnozie i zmysł powonienia. Z polecenia Sanvaire'a do uśpionej przystąpiło osiem osób, między niemi cztery obce, i każda z nich dała do powąchania swoją rękę, poczem wzięto od wszystkich chustki do nosa i w dowolnym porządku dawano je medyum. Pomimo iż zachowano wszelkie środki zapobiegające podpatrzeniu — medyum bez najmniejszego trudu poznawało właściciela każdej chustki po zapachu jej.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA POLSKA.

Alfred Nossig. *Poezye*, Lwów, 1888.

Gdy na wydmie piaszczystej ujrzysz sosnę — to, choć karłowata uraduje twe oko. Ilekroć na suchej niwie inteligencyi „golonej i głodem morzonej" czyli galicyjskiej, wystrzeli krzew jaki soczystszy i krzepki i nie opuści spalonych posuchą liści ku ziemi — patrzymy nań z podziwem i uśmiechem zadowolenia.

Jak długo wytrwa na tej jałowiźnie zapał p. Nossiga — trudno przesądzać. Tymczasem w lat trzy po *Tragedyi myśli* ogłasza on bogaty w treść zbiór poezyi, łącząc w nim utwory bądź po pismach rozrzucone, bądź całkiem nowe. Jeśli zważyć, że w chwilach kiedy Pegaz odpoczywał, młody autor zasiadał do warsztatu społecznego i rozbierał sprawy żywotne — wypadnie już z góry wyrazić mu uznanie za ruchliwość pióra.

W najnowszej książce znaleźć można wszystkiego potroszę. Są i rymy ulotne i pamiętnik, zwykłą śmiertelnych mową pisany, i duży dramat historyczny nie obcy już lwowskiej scenie, i monologów szereg i poemat o człowieku, stylem biblijnym skreślony, i wiązanka wreszcie poematów drobniejszych, pod wspólnym tytułem *Rytmy*: jest to liryka również w tonie prozy utrzymana.

Pierwszeństwo — tragedyi: *Król Syonu*. Należy się jej to z uwagi na pięć dużych aktów, rozciągniętych na setkę stronic i ze względu na pokrewieństwo co do rodzaju poetyckiego z pierwszym występem, tak szczęśliwie dramatyzującym ideę męczeńskiej śmierci wielkiego człowieka, jakim był Giordano Bruno.

I teraz bohaterem jest postać dziejowa, którą geniusz wrodzony przeznaczył na odegranie roli wodza, choć już nie w kraínie myśli, a w sferze czynu. Król Syonu to Bar-Kochba, monarcha Judei z pierwszej połowy drugiego po Chrystusie wieku, postrach i bicz rzymian, których pod wodzą Juliusza Sewera stawali z nim boje niefortunne. Akcya sztuki rozgrywa się w twierdzy palestyńskiej, Betarze, oblężonym przez wrogów. Naród całą swą nadzieję pokłada w zwycięzkim władcy i jego mężtwem rozgrzewany dotąd cudów waleczności dokazywał. Szał patryotyczny ogarnął serca i umysły i prze do boju starców i niedorostków. Osierocony stratą jedenastu synów żołnierz nie boleje nad losem swym wobec króla, „który utracił setki tysięcy wiernych." Młodzież rzuca naukę świętego zakonu i błaga, by jej wolno było uczestniczyć w walce. Zniecierpliwieni namiestnik i wojownik Hadryana, postanawiają użyć podstępu, przekupstwem chcą wykryć drogi, któremi płynie do fortecy żywność, i tajemnice budowy, czyniące ją niezdobytą. Dzieło to ułatwiają im wnet: piękna Dejanira, wysłana z obozu rzymskiego z misyą oczarowania Bar-Kochby swymi wdziękami, oraz jeden z nauczycieli zakonu Ismael, dopuszczający się niecnej zdrady dla pospolitego zysku. Gród zostaje wziętym a ubóstwiany jego obrońca nie czekając, aż miecz rzymski go powali, odbiera sobie życie żądłem żmii przyciśniętej do piersi. Sewer znajduje już tylko trupa.

Jednak nie owi to posłowie zdrady gubią Izrael — ani też użyte przez nich podstępy. Przyczyna tragicznego końca heroicznej walki tkwi w samym bohaterze i oto jądro dramatu. Bar-Kochba jest olbrzymem w cnotach rycerskich, ale toczy go robak niewiary, paraliżującej wrodzoną energię, refleksya i pociąg do rozkoszy epikurejskiej. W tyle potęg, burzących wolę i hart ducha, uposażony, pada raz po raz ofiarą słabości, daje prowadzić się na pasku chwilowym wybuchom temperamentu, nikczemnym intrygantom i toczonym kształtom kobiet. W porze krytycznej, gdy byt ojczyzny wisi na włosku, popełnia cały szereg nieprzebaczonych błędów: wyrzuca z Betaru plemię samarytan, dlatego, że jeden z nich obraził majestat i tem samem gotuje sobie śmiertelnych nieprzyjaciół. Uwięzył oszczerstwu, rzuconemu przez Ismaela na proroka Elea-

zara, który w oblężonych krzepił upadającego ducha i gorącą wiarą wlewał w nich otuchę — i zabił szlachetną tę postać, drogą narodowi, takąż gwiazdę przewodnią w modłach i nadziejach, jak Bar-Kochba na polu bitwy. Gdy okrucieństwo rzymian, którzy palili żywcem jeńców hebrejskich, przywiodło do rozpaczy mieszkańców twierdzy i w samym królu wzbudziło wściekłe miotanie się, wtedy, pomimo ślubu krwawej i bezlitosnej zemsty na każdym pochwyconym rzymianinie, ułaskawia on Dejanirę, przyprowadzoną nagle i w pierwszym popędzie na śmierć skazaną: nie zdołał oprzeć się urokowi, przyjął za niewolnicę a potem i za kochankę, ażeby siebie i lud męczeński wydać na pastwę srogich pogan.

Eleazar tak sam określa ten charakter:

„Bar-Kochba nie jest pomazańcem bożym. Bóg, który mnie powołał na proroka, zniewoliłby mię, abym odczuł w nim zbawiciela! Bar-Kochba ma siłę, aby pokonywać wojska rzymskie, ale on nie ma mocy do wymówienia imienia bożego!“ On jak i poprzedni władcy Izraela obrzuca biały marmur gmachów wiary i odwagi „kałem cuchnącym, czynami porywczości, uniesienia i okrucieństwa.“

Tak więc szczerby w moralnej organizacyi Bar-Kochby zawierały w sobie zawczasu wyrok zagłady dla niego i tylekroć ocalonego przezeń ludu. Jeżeli na dramacie tej zagłady, poeta dźwignął dramat wewnętrzny człowieka, świadomego klęsk, które błędami swymi sprowadził i szarpiącego się własną rozterką i zwątpieniem — to znaczy, iż chciał w formie estetycznej wygłosić morał szerszego znaczenia, historyczną sentencyę jakąś, myślicielskie uogólnienie pojedynczego faktu. Inaczej pocóżby owe dwa dramata kojarzył z sobą? Sam upadek Betaru, gdyby tylko w nim odmalowano plastycznie starcie dwóch cywilizacyj, mógłby dostarczyć wątku do pięknej tragedyi epicznej, pełnej elegijnego smutku. A z drugiej strony sama osobistość Bar-Kochby postawiona na innem zupełnie tle, dajmy na to stosunków miłosnych, jużby mogła skupić w sobie wagę dramatyczną, zwiększając poprostu poczet tragedyj charakterów w rodzaju Hamleta, Don Kiszota, lub Wallensteina. We wszelkiej dziedzinie uczuć, czy patryotycznych, czy mesyańskich, czy artystycznych mogłaby ona tworzyć dramat (będąc naturalnie, odtworzoną, jak się należy); Bar-Kochba i natury jego kroju są same w sobie rozpołowione i służą za widownię walki, bez akcesoryów zewnętrznych. Betar, czy Warszawa, uczta tryumfatora, czy cela mędrca — to dla nich wszystko jedno.

Cóż stąd za wniosek? Pewność, że autor uczyniwszy dramat indywidualny źródłem dramatu powszechnego—postępowanie króla Syonu przyczyną losu żałobnego jego poddanych—pragnął wypowiedzieć coś więcej niż pieśń nagrobną. Że tej pewności tak mozolnie doszukiwać się trzeba, to pierwszy, kardynalny błąd utworu.

Ale jaka to myśl kierownicza, jaka idea unosi się nad pobojowiskiem Betaru?

Niestety unosi się ona aż w trzech egzemplarzach, w wielu punktach ze sobą sprzecznych, tak iż nie pozwalają uświadomić jej jasno i jednolicie.

Pierwsza wersya—to konsekwencya, płynąca z samego biegu wypadków, gorzka zaduma nad „czynami porywczości, uniesienia i okrucieństwa,“ które wielkiego bojownika zamieniają w małego człowieka; nad niepokojami własnego ducha, nudą, niewiarą, zmysłowością i refleksyą, które rozmiękczają stalową moc woli i wielkiego wodza czynią mimowolnym grabarzem własnej ojczyzny.

Druga — to bezustanne kazania Eleazara na temat zbawienności wiary w opiekuńczego Boga. Wciąż toczy się zgryźliwa szermierka między libertynem na tronie a namaszczonym prorokiem i tyle razy powtarza się pełne natchnienia i grozy wzywanie do religii, kazanie o gniewie i obrazie boskiej, o nicości usiłowań ludzkich gdy im nie sprzyja łaska Jehowy— że znudzony natrętnem brzęczeniem wyrazu „religia“ — pytasz w końcu: Co u licha? Czyżby Eleazar miał być wyobrazicielem uczuć samego autora a religia kotwicą dla zagrożonego rozbiciem Izraela?

Wreszcie trzecia konkluzya wypływa z dysputy mędrców: Akiby, Meira i Eleazara — która kończy się ogólną zgodą na hasło, że należy zerwać więzy narodu, a wrócą mu siła i płodność, i nie wdając się w to, czy Bar-Kochba jest przepowiedzianym mesyaszem, czy nie — pomagać mu w dziele zrzucenia jarzma. Eleazar przyklaskuje tej polityce, choć przed chwilą, no i, co prawda, nie długo potem nie przestaje być oponentem króla z zasady...

Jak tu sobie z tym *ambaras de richesse* poradzić. Trzema szczelinami sączy się niejednakowa bynajmniej mądrość, i niechybnie prowadzi zakłopotanego czytelnika do przeświadczenia, że p. Nossig nie przeżuł należycie pomysłu, gdy się brał do wcielenia go w dramat. Ten sam czytelnik zżyma się gniewnie, ilekroć napotka słowne rozprawy i polemiki i myśli sobie w duchu: „Ach! paskudna litero, która hebrejczykom kazałaś mierzyć każdego bohatera formułą spleśniałej jakiejś wróżby — cóżeś ty najlepszego uczyniła *Królowi Syonu*? Gdyby nie ty, gdyby nie gadatliwość twoja i ciągłe komentarze teoretyczne do akcyi dramatu, zdarzenia wysnuwałyby się wyraziście, gładko i z siłą najbardziej przekonywającą — bo siłą samych faktów.“

Wówczas zarzut ciężki musiałby obarczać tylko postacie tragedyi, a przedewszystkiem samego bohatera. Jest on od stóp do głów jednostką *znaną*. Pewnie przedtem już zamajaczały ci w głowie imiona: Hamlet, Sardanapal, Childe-Harold, Rolla i... wszyscy synowie *weltschmerzu*. Bar-Kochba z każdego z nich wziął po trosze: gotując się na śmierć, parafrazuje stereotypowe *to be or not to be* i drwi z bogów w słowach, jak gdyby wyjętych z ust Sardanapalowi. Jednocześnie dumny jest i próżny jak Byron, znudzony życiem jak Musset, jak wszyscy oni razem wzięci odżywa tylko w objęciach odalisk, a w chwilach otrzeźwienia mędrkuje na wzór Salomona, że byt na ziemi — to „samogwałt.“ Nie sądzę, ażeby p. Nossig, zapożyczał się u którego z nich specyalnie: odzwierciedlił wszystkich razem, streszczonych w jednej mieszaninie — a ta mieszanina musi być wielce egotycznego zabarwienia.

Weltschmerz, to motyw bardzo piękny — ale jeśli płynie w duchu czasu. Rozpamiętywania Bar-Kochby — to w niczem niezmieniony *Katzenjammer* z pierwszej połowy stulecia, w dodatku niewiedzący sam, czego chce.

I wiele innych ogniw dramatu dźwięczy nutą bardzo znaną. Jest tam ustawiczna dyalektyka, przypominająca Okońskiego; jest błazen Abimelech, kpinkarz i cynik, urobiony całkiem na wzór Dyogenesa i błazna z *Króla Leara*, przywiązaniem zaś gorącem bliźniaczo podobny do Nicka z *Maryi Stuart*. Śmierć Bar-Kochby to coś niby śmierć Kleopatry, a prośba o zadanie śmiertelnego ciosu — Szekspir łatwo mógłby wziąć za swoją własność, umieszczoną w ostatnim akcie *Juliusza Cezara*. Bądź co bądź, naśladowania wzorów lichych — pomiędzy grzechami p. Nossiga niema...

Króla Syonu ostatecznie porównałbym do mozajki, której wiele kamyków artysta powyjmował z innych. Zostało jednak i sporo własnych niepośledniej wartości. Do tych należy moment, kiedy Dejanira z początku obłudna i na przeszpiegi wysłana, pod sztyletem Bar-Kochby w konwulsyach przedśmiertnych wyznaje mu swoją miłość płomienną; oraz inny, kiedy Abimelech nad konającym królem błaga i dla siebie o kroplę wężowego jadu. Ładne wreszcie są wszystkie epizody walki.

Cechy ogólne: koloryt i deseń tej mozajki ratują ją od losu utworów całkiem przelotnych i chybionych. Tło wschodnie pozostaje zawsze pierwiastkiem wysoce poetycznym i pod tym względem *Król Syonu* sprawiać może na scenie efekt *Sardanapala*, *Królowej Saby* i tym podobnych. Autor przewagę tę należycie wyzyskał, nadawszy akcyi tętno urozmaicone, bogactwo scen barwnych, przepych akcesoryów, znaczny ruch i to, co przedewszystkiem odpowiada teatralnemu przeznaczeniu dzieła.

Jeśli zaznaczę, że największą zaletą tragedyi p. Nossiga jest — szkoda, że tak mglista i niewprawnie upoetyzowana—idea szeroka, idea pochłonięcia Izraela przez straszliwego potwora Romę — to potrącę zarazem o ciekawy bardzo rys znamienny w organizacyi autora, rys dosyć oryginalny, który całą niemal istotę reszty utworów wypełnia.

(D. n.)

Z NIEMIEC.

8 czerwca.

Bastiana materyały do etnologii porównawczej. — Hipoteza Żmigrodzkiego. — Empiryzm a profesorowie niemieccy. — Poetyki na podstawie indukcyjnej. — Wilhelm Scherer i „die Berlinerei.“ — Dzieło Baumgarta. — Metoda przyrodnicza, zastosowana do historyi sztuki Ludwika Sybla: *Weltgeschichte der Kunst.*

Zasłużony badacz niemiecki Bastian, mimo podeszłego wieku, pilnie jeszcze krząta się około powiększenia materyałów, z których kiedyś powstać ma etnologia indukcyjna. Przypatrzywszy się zblizka rychłemu upadaniu rozsianych jeszcze po kuli ziemskiej resztek kultury pierwotnej, wzywa do jaknajskwapliwszego zbadania zwyczajów i życia umysłowego tych ginących szczepów. Hasłem jego jest zbieranie materyałów: dla krytycznego uporządkowania i wyzyskania ich znajdzie się czas i po zejściu ostatnich przedstawicieli dziecięcego okresu ludzkości. To też ostatnie dzieło Bastiana *) nie zawiera jeszcze, jakby z tytułu ponickąd sądzić można, próby zestawień wyników dotychczasowych badań etnologicznych. Autor sam przyrównywa pracę swą do obrazów kalejdoskopu: istotnie materyał miesza się w niej z teoryą, jak to bywa w początkach nauki ścisłej. To też niepodobna streścić tej rozległej „statystyki myśli ludzkiej,“ która przekraczając granice znanej szerszym kołom osób wykształconych topologii i chronologii, bada kwintesencyę umysłowego życia ludzkości, mniej bacząc na jednostkowy duch człowieka, a przeważnie na wielkie organizmy społeczne. Główny wynik porównawczych badań streszcza Bastian sam w słowach następujących: „Wobec stwierdzonego podobieństwa, dawniej stawiano na pierwszy plan kwestyę historycznego związku; dziś wysuwa się coraz bardziej na plan przedni kwestya jednorodności twórczości ludzkiej. Nie należy nawet mówić o możliwości jednorodnego myślenia, ale o jego konieczności, a różnice wypływają li tylko z odmiennych warunków geograficznych, odzwierciedlając zarazem to, co pojmować trzeba jako typ ludu.“

W przystępny sposób ilustruje ten sam wynik druga praca Bastiana. W popularnem tem dziele, zatytułowanem *Etnologisches Bilderbuch*, znajdujemy szereg obrazów historyczno-etnologicznych, uzupełniających szkolną historyę świata. Poznajemy

*) *Die Welt in ihren Spiegelungen unter dem Wandel des Völkergedankens.* Prolegomena zu einer Gedankenstatistik. Berlin, Mittler.

cywilizacyę peruańską, egipską, indyjską; kosmogonię polynezyjczyków, porównaną z kosmogonią grecką. Widzimy, jak wszędzie z podobnych zarodów podobne powstają twory: zwłaszcza istota i rozwój wyobrażeń religijnych na najodleglejszych punktach kuli ziemskiej zdają się być znacznie zgodniejszemi, aniżeli dawniej przypuszczano.

Sprzeczną z wnioskami Bastiana jest hipoteza Michała Żmigrodzkiego, którą pisma naukowe podnoszą jako najcenniejszą zawartość oryginalnej pracy tego autora, ogłoszonej w języku niemieckim *). Dzieło Żmigrodzkiego, opierające się o Bachofena i Lipperta, poświęcone właściwie kwestyi kobiecej, traktowanej na tle historyczno-etnologicznem, cechuje się jako robota dyletanta tem właśnie, że zawiera wywody o kwestyach niepozostających w związku z przedmiotem głównym. I tak owa cenna hipoteza, o której wspomnieliśmy, odnosi się do cywilizacyi ludów pierwotnych. Podczas gdy Bastian kładzie nacisk na możliwość i konieczność równoległego rozwoju kulturalnego u ludów niestykających się z sobą, Żmigrodzki sądzi, że skoro u ludów pokrewnych znajdujemy też same narzędzia, powinniśmy uczynić wniosek, że narzędzia te wynalezione były jeszcze przez szczep pierwotny, który wydał owe gałęzie przed rozejściem się ich z siedziby wspólnej. Za poglądem Bastiana przemawia podobieństwo rozwoju form organicznych, o których również dawniej sądzono, że pochodzić muszą od niezliczonych pra-typów; a wiadomo, jak płodną okazała się analogia w historyi społecznego rozwoju ludów. Zwolennicy teoryi rozwoju uważać muszą za prawdopodobne, że ta analogia i na polu dziejów kulturalnych zachowa swe znaczenie.

Plany reformatorskie Żmigrodzkiego, odnoszące się do położenia kobiet, nie zalecają się ani oryginalnością, ani praktycznością.

Empiryczna metoda badania, która w Niemczech zwolna tylko torowała sobie drogę, dziś przyjęła się w najszerszych kołach uczonych. Profesorowie literatury ogłaszają dziś nawet — poetyki indukcyjne.

Niestety, wielce się rozczarujesz, szanowny czytelniku, jeżeli weźmiesz roboty te do ręki w przypuszczeniu, że niemiecki profesor tak umie stosować metodę indukcyjną do twórczości poetyckiej, jak Taine. Podobnego połączenia zarozumiałości z nieudolnością, jakie zawiera *Poetyka* Wilhelma Scherera **), znanego autora historyi literatury, dawno już nie napotkaliśmy w naukowych wydawnictwach niemieckich. Dotychczasowe prace w tej dziedzinie, to, co po Arystotelesie i Lessingu pisali romantycy, Hegel i Schelling, Carriere, Gattschall i Vischer, nie istnieje dla autora. Pojmuje on metodę indukcyjną w ten sposób, że pracom poprzednim odmawia zgóry wszelkiej wartości i z materyału samego wysnuwa wnioski. Przejrzyjmy treść jego książki. W pięciu rozdziałach mówi o poezyi i prozie, o poecie w stosunku do publiczności, o przedmiotach poezyi. Zapowiedziany nowy, całkowity system na podstawie empirycznej, nie bada wcale zasad, istoty i środków poezyi lirycznej, epicznej i dramatycznej, nie rozbiera obrazowości języka, nie dotyka wcale metryki. Książka Scherera zdyskredytowała poniekąd metodę, bez której jednak istotnych rezultatów dziś osiągnąć niepodobna. Zwolennicy estetyki spekulacyjnej tryumfują. Ale i przedstawiciele szkoły indukcyjnej, wyjąwszy przyjaciół Scherera, którzy zajmują się reklamą dla jego dzieła, zarzucają autorowi to, co znakomicie wyrażają w Niemczech słowem: „Berlinerei“—wielki rozmach bez odpowiedniego rezultatu, śmiałe odmawianie zasług innym, których nietylko się nie prześciga, ale nawet nie dosięga. Co w pracy Scherera ma wartość istotną, to chyba rodowód poezyi. Wrodzony człowiekowi zmysł dla taktu i harmonii, przy tańcu i śpiewie wypływającym z wezbranej siły organicznej, wytwarza rytm. W ten sposób poezya powstaje wśród zabaw i rozrywek, częścią też przy kulcie religijnym, w chwilach, w których człowiek zapomina o życiu codziennem. Głównie jednak, według autora, szukać należy początków poezyi w uczuciach przyjemnych; a że najsilniejsze uczucia przyjemne w człowieku pierwotnym wytwarza popęd erotyczny, zatem ten niezawodnie natchnął ludzi do pierwszej poezyi. Cenne są wskazówki Scherera o prawdopodobnych postępach poezyi. „Można sobie wyobrazić całkowitą lirykę w prozie; wszystkie rodzaje liryki traktowane być mogą bez rytmu i rymu.“ „Możnaby też wyobrazić sobie historyę w stylu epopei, ale nie wierszowaną. I poemat dydaktyczny mógłby być napisany prozą; tak np. powstanie świata według Laplace'a i Kanta, lub powstanie gatunków według Darwina.“

Systematyczniejszą i cenniejszą jest książka Baumgarta *). Autor zapowiada krytyczno - historyczne przedstawienie teoryi twórczości poetyckiej. Nie licząc się z pracami nowszemi, podobnie jak Scherer, opiera się o Arystotelesa i Lessinga. Książka jego jest pouczającą, chociażby dla wytrawnej jego znajomości poezyi greckiej, której utwory rozbiera umiejętnie. Baumgart uwzględnia też poezyę angielską, zaniedbując natomiast prawie całkowicie poezyę ludów romańskich i słowiańskich. Najszczegółowiej opracowywa dramat. Obszerny wywód poświęcony jest kwestyi, co Arystoteles rozumiał przez słowo „katharsis.“ Zwracając się przeciw znanemu poglądowi Bernaysa, Baumgart twierdzi, że „katharsis“ Arystotelesa nie oznacza uszlachetnienia trwogi i współczucia, ale uwolnienie duszy od tych uczuć; według B., poeta temat, budzący z natury swej trwogę i współczucie, tak powinien opracować, iżby w widzu przy końcu pozostało tylko czyste uczucie piękna.

Zajmującą jest próba opracowania historyi sztuki według metody przyrodniczej, porównawczo-genetycznej. Sybla historya sztuki starożytnej **) łamie sakramentalną w Niemczech tradycyę Lübkego. Zamiast rozwoju następczo-etnograficznego, autor kreśli dzieje sztuki starożytnej, wziętej jako całość. Punkt widzenia etnograficzny i eidograficzny (według rodzajów sztuk plastycznych) u Sybla jest podrzędnym. Sztuka starożytna sięga według niego aż do czasu wybudowania kościoła św. Zofii, gdyż aczkolwiek plastyka starożytna wówczas istnieć już przestała, architektura osiągnęła wówczas dopiero największą śmiałość konstrukcyi. Historyę sztuki starożytnej dzieli Sybel na trzy okresy; w pierwszym dominuje wschodnia, ale i początki greckiej zrozumiane być mogą tylko w związku ze sztuką tego okresu. Drugi obejmuje rozkwit stylu greckiego i początki światowego jego panowania, oddziaływania na sztukę Wschodu, wreszcie wpływ tego stylu na początki sztuki rzymskiej. W trzecim okresie na pierwszym planie znajdujemy sztukę rzymską; w służbie chrześciaństwa klasyczna ostatnie wydaje twory. Odkrycia dokonane w ostatnich dziesięcioleciach umożliwiły Syblowi wyświetlenie związku, zachodzącego pomiędzy sztuką starożytną wschodnią a zachodnią. W opracowaniu jego niejedna kwestya, ktorej rozwiązanie Kuglerowi, Schnaaremu, Lübkemu utrudniała metoda ich prac, wyjaśnia się w sposób naturalny wprost przez porównawcze traktowanie zabytków. Tembardziej podnieść należy, że Sybel nie zapuszcza się w hypotezy ponętne acz niedozwolone jeszcze wobec dzisiejszego stanu materyału; podaje on zawsze prawie rezultaty pewne.

Ladawa.

*) *Die Mutter bei den Völkern des arischen Stammes.* Eine anthropologisch-historische Skizze als Beitrag zur Lösung der Frauenfrage. München, Theodor Cultermann.

**) Berlin, Weidemann, 1888.

*) *Handbuch der Poetik.* Stuttgart, Botte.

**) *Weltgeschichte der Kunst bis zum Erbauung der Sophienkirche.* Marburg, Elwert.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Nowy dochodzik niemiecki.— Interes w futerale polityki. — Wspomnienie z przejazdu przez granicę pruską. — Pokuta w Otłoczynie i wyrok konsula z Nieszawy. — Wyborowa publiczność odstraszona od kolei elektrycznej. — Nasze figarzątka. — Czem my się żywimy. — Sekcya wiedzy p. Ochorowicza.— Warunki powodzenia znachorów. — Pisma lekarskie. — Wyścigi. — Anglelszczyzna mokotowska. —

Francuz, jadący do Niemiec, musi teraz posiadać paszport, poświadczony przez ambasadę niemiecką w Paryżu, która ten zaszczyt sprzedaje po 10 marek od sztuki. Jest to już nietylko szykana dotkliwa, ale zdzierstwo zuchwałe, druga częściowo ściągana kontrybucya. Z tego powodu *Now. Wremia* oburza się na łapczywą rękę sąsiadów i posądza ją o wypróżnianie cudzych kieszeni pod płaszczem polityki. Uwaga zupełnie słuszna i żałuję mocno, że *N. Wremia* przeoczyło ten *geschäft*, gdyśmy go wskazali i odsłonili ową rękę, łowiącą zyski w naszych stosunkach. Własnem doświadczeniem przekonałem się dawno, o co niemcom głównie chodzi przy tych granicznych „ostrożnościach.“ Przed ośmiu laty z p. Sz. wyruszyliśmy do Francyi przez Prusy. Ponieważ za świadków i opiekunów wzięliśmy z sobą dwa najformalniejsze paszporty, więc bez troski wjeżdżaliśmy do państwa „bojaźni bożej i dobrych obyczajów.“ Bezwzględna ufność ukołysała nas do snu. Nagle drzwi wagonu otwierają się z łoskotem i słyszymy grzmiące: *Meine Herrschaften, bitte Ihre Pässe.*

Na tle nocy przy słabem świetle lamp zarysowała się postać krzepka, z twarzą energiczną, w ubraniu cywilnem a czapce mundurowej. Wyjęliśmy nasze talizmany i oddaliśmy je temu obwodowemu nerwowi wielkiego systemu, którego mózg tkwił w Warcynie. Po rozstaniu się z klejnotem mojego bezpieczeństwa, doznałem takiego uczucia, jak gdyby anioł stróż zwinął rozpostarte nade mną skrzydła i odleciał. Ale on wróci — myślałem — wróci i poniesie mnie dalej a szumem swych piór spędzi trwogę z czoła Europy, która spojrzała w tej chwili na mnie podejrzliwem okiem. Sąsiedzi moi, również zbudzeni, ziewnęli kilkakrotnie, jeden spojrzał na zegarek i uwiadomił nas, że jest pierwsza godzina po północy, drugi objaśnił, że miejsce, w którem sprawdzano nasz stosunek względem Niemiec, zwie się Otłoczyn, wreszcie oi obaj drzemać zaczęli. Ja, niespokojny o swój zabrany do rewizyi dowód obywatelstwa w Europie, puściłem przez otwarte drzwi wagonu wzrok ku budynkowi stacyjnemu. Po platformie przechadzał się olbrzymi żandarm pruski, na którego kasku płomyk latarni tak swobodnie igrał odbłyskami, jak gdyby skakał po głowie członka akademii, a nie karyatydy państwa „bojaźni bożej i dobrych obyczajów.“ Pozbawiony paszportu, jedynej mojej godności i osłony wobec tego pogromcy mizeraków, z szacunkiem wodziłem zanim oczami. Nareszcie słyszę stąpania i widzę... Tak, to on, graniczny Jozue, który zatrzymał nasz pociąg, idzie i niesie paczkę zielonych książeczek. Tyle istnień ludzkich a przynajmniej praw trzymał w swem ręku, że

kroczył wolno, poważnie. Zbliżył się naprzód do naszego przedziału:

— *Herr S., Herr Sz., Frau Ch... bitte...*

Wyciągam rękę po mój talizman.

— *Bitte herauszusteigen.*

Co? Ja mam wysiąść? Czy on chce nas troje obejrzeć?

— Dlaczego? — pytam.

— *Sie haben keine Visa.*

Nie posiadam wizy? Nie, ja wam nie umiem opowiedzieć druzgocącej siły tego gromu. Więc mój paszport, czarodziejski klucz, który miał mi otworzyć wrota Europy, jest zwykłym zakrzywionym gwoździem, zabronionym wytrychem? Więc ta wszechświatowa potęga okazała się marą? Więc, kupiwszy bilet do Paryża, muszę wysiąść w jakimś Otloczynie i żebrać miłosierdzia pruskiego? Zerwały się we mnie wszystkie wichry zgrozy.

— Ależ panie, to gwałt! — zawołałem.

— *Bitte herauszusteigen*—powtórzył z mocniejszym naciskiem.

A bodaj was... — buchnąłem (po polsku) klątwą meteorologiczną, wysiadając z wagonu — krzyknąłem po niemiecku: Czemuż ten wasz mądry kanclerz nie ogłosi w naszych gazetach, że teraz trzeba paszporty wizować!

— Pan obrażasz nasz rząd — wrzasnął major (tak go tytułowano) — zaraz spiszemy protokół.

— A pisz pan sobie — rzekłem. Będzie przynajmniej jakaś rozrywka w tem pustkowiu.

Mój towarzysz dzielnie popierał mnie w proteście, którym osiągnęliśmy ten skutek, że lokomotywa gwizdnęła, pociąg ruszył, a my wraz z panią Ch. zostaliśmy śród chłodnej nocy na dworzu, nie mając nawet przeczucia, co gniewny major i groźny żandarm z nami poczną. Ale pierwszy z nich odezwał się:

— No, niech państwo napiją się piwa, przenocują, jutro telegrafem wizę sprowadzą i będzie można jechać.

Błysnął nam promyk nadziei. Więc ostatecznie jest środek wydobycia się z tej dziury i szpon pruskiego orła: trzeba tylko... trudno!

Ponieważ p. Ch. objawiła niezadowolenie z poddasza, w którem jej kazano nocować, więc dzierżawca bufetu wypędził biedną suchotnicę na dwór; my zaś piliśmy piwo, jak robaki jedli ser i czekali 24 godzin na przybycie wizy telegrafem od konsula niemieckiego w... Nieszawie. Tak, konsul z Nieszawy (której żaden z nas nigdy nie widział) rozstrzygał, czy my, mieszkańcy Warszawy, mieliśmy prawo przejechać do Francyi przez Prusy. Za trzy talary (wraz z kosztami depeszy) przysłał nam pozwolenie.

Dlaczego pytano konsula w Nieszawie? Bo był najbliższym granicy. Przypuszczam, że nawet prof. Gneist, narodowo-liberał, który w parlamencie pruskim słynie z umiejętności dowiedzenia wszystkiego, nie wytłomaczyłby, według jakiej logiki konsul nieszawski ocenia, czy dwaj warszawiacy mogą przejechać przez Niemcy bez zagrożenia ich bezpieczeństwa? Bo też o co innego tu chodzi: o 60, czy ileś tam kopiejek, płaconych za prawo wolnego wstępu do Niemiec. Dla wyegzekwowania tych kilkudziesięciu kopiejek skazano nas na przerwę w podróży, niewygody, koszta, głód i kłopoty a jedną kobietę narażono na ciężką chorobę.

Ten sam cel przewodniczy rozporządzeniu względem francuzów, tylko że zamierzony dochód jest jeszcze większy, bo niemcy zawsze z „wyższych racyj“ robią futerały dla niższych. Pod pozorem „ostrożności“ ssać będą francuzów, pod tym samym pozorem ssą nas. Ich Mojżesz uderzył naprzód laską w ścianę wschodnią, potem w zachodnią i z obu trysły dla ludu wybranego zdroje złota. Żadna statystyka nie rachuje, ile poddani państwa ruskiego zapłacili dotąd za poświadczenia paszportów w konsulatach niemieckich, niewątpliwie jednak podatek ten wynosi bardzo poważną sumę a ściągany bywa tak drapieżnie, że wielu złapanych w potrzask, czekając w Otloczynie na telegram z Nieszawy, myślało o... wystawie inwentarza, a zwłaszcza o najtłustszym jej dziale.

Wystawę tę w Warszawie otwarto. Nie jestem hodowcą, więc nie mogę pochwycić delikatnych odcieni, odróżniających ją od szeregu poprzednich. Jak dawniej widzę ładne konie, bydło, trzodę chlewną, kury, psy, no, i główny nasz wytwór — arystokratyzm. „Sylfowie“ miejscowi wskazujące swe palce zwrócili ku kolei elektrycznej przedsiębiorców berlińskich; ale niech nikt nie sądzi, ażeby nawet ona stanowiła nowość, bo właśnie na niej wystąpił ów nasz produkt. *Gazeta polska* opowiada, że jakiś roznosiciel pism poświęcił 20 groszy dla przejechania się elektrycznym tramwajem naokoło placu wystawy. „Ten Gawrosz warszawski *stanowił* może o powodzeniu tramwaju, bo swem zachowaniem się *odstręczył* już na sam początek *wyborowszą* publiczność, któraby miała ochotę spróbować oryginalnej przejażdżki. Z bardzo małymi wyjątkami *stroni* ona od tramwaju zupełnie.“ Uważacie: ponieważ „Gawrosz warszawski“ uczuł zuchwałe pragnienie przejażdżki koleją elektryczną, więc „publiczność wyborowa stroni od niej „zupełnie.“ Niewiele już na świecie pozostało krynic mimowolnego humoru, któryby wyrównywał temu. Podczas gdy w restauracyach paryskich możesz spotkać robotników, jedzących obok złotej młodzieży, a w lasku Bulońskim — widzieć mieszczan spacerujących bez tużurków, podczas gdy w parlamentach europejskich chłopi siedzą na ławkach obok arystokratów „pełnej krwi,“ my nędzarze, których wszyscy bogacze zmieściliby się w jednej przegródce pugilaresu lorda angielskiego, gardzimy tramwajem, do którego wsiadł roznosiciel pism. To jest coś arcyprzedziwnego, takiej dumy już dziś w cywilizowanej Europie nie zobaczysz łatwo. Czytając o niej wzmianki mniemasz, że Warszawa — to nie gniazdo ...*skich*, — *wiczów*,—*manów*, słowem, zwykłych śmiertelników, ale Bauffremontów, Somersetów, Beauvau-Craonów, Devonshirów, Choiseul-Praslinów i tym podobnych „folblutów.“

Zgodnie z tem mniemaniem „naszymi faworytami“ są—według *Kuryera warsz.*— konie wyścigowe — więc także arystokracya. Gust taki jest naprzód „szlachetnym“ a powtóre zalecony przez Wortha prasy naszej, paryski *Figaro*. Czytelnik, nieubierający wnętrza swej głowy u modnych krawców literatury, ani przypuszcza, do jakiego stopnia najbardziej rozpowszechnione dzienniki nasze w swym całym kraju są zależne od tego organu bogatych próżniaków i strojnych ladacznic. Każdy z nich chce być *Figarem*, każdy naśladuje jego wygląd, ruchy, język, koncepty, bezmyślność, wykrzykniki, głupowate uśmiechy— wszystko. Dzięki temu naśladownictwu po mózgach i sercach ogromnej części naszego narodu przesuwają się światła i cienie francuzkiego „życia na żart,“ tysiące ludzi karmią się tem, czem się karmi półświatek paryski a przekupnie i rzemieślnicy oddychają moralnem powietrzem „pschütów“ i „vlanów.“ „Wyborowa publiczność“ warszawska zamienia się powoli w swych upodobaniach na świat hulaszczej pustoty i cynicznej drwiny z pańskiem zacięciem. W naszym kraju jest więcej spożywców *Figara*, oryginalnego i przyprawionego po polsku, niż we Francyi, która paczułę dziennikarską wysyła głównie za granicę, a naszych przetworów, zwanych *Kuryerami*, nie zużywa. Ze wszystkich też narodów europejskich my najwięcej spożywamy francuzkich morderstw, plotek teatralnych, skandalów rozpusty, anegdot o nieśmiertelnej trójcy — mężu, żonie, i kochanku, wybrykach arystokracyi, wyścigach, grze ruletowej itp.

Dotknęła tej bolączki naszego dziennikarstwa, polującego na głupstwa pod przewodnictwem *Figara*, widocznie zirytowana *Gazeta lekarska*, która aż na 30 stronicach sprawiła p. Ochorowiczowi prysznic*). Jest to wybuch długo tłumionego gniewu. Dowodzi ona, że szan. filozof, fizyk, lekarz, nie zna ani fizyki, ani żadnej nauki przyrodniczej, tylko prace filozoficzne „zjednały mu zasłużone uznanie.“ O nieba, jakże p. Ochorowicz, pomimo całej kąpieli, powinien za to pochlebne słówko być wdzięcznym *Gazecie lekarskiej*, która widocznie nic nie słyszała ani o zdaniu Preyera, ani o przypadku ze św. Tomaszem i Fischerem, ani o innych przypadkach, jakie szan. magnetyzera spotkały w filozofii. Nie opuściłby on jej i nie reformował ani fizyki, ani medycyny, gdyby był zdobył tam „zasłużone uznanie.“ Niestety, było inaczej, a zaszem — bardzo nieszczęśliwie. Zarzutów i dowodów nieświadomości naukowej p. O., zgromadzonych przez *Gazetę*, powtarzać nie będę — szkoda już dziś na to czasu i atłasu. Natomiast przytoczę kilka śmiałych, szczerych i trafnych uwag d-ra Matlakowskiego o warunkach powodzenia wszelkich cudotwórców u nas. „Jeżeli Michałki i Łukaszki — powiada on — mieli rozległą praktykę i słynęli jako znakomici lekarze, cóż dziwnego, że człowiek inteligentny, wykształcony, który sobie sprytnie przygotował grunt przez chwalenie t. zw. swojego sposobu, przez poniżenie medycyny, zyskał odrazu rozgłos. Gdy chodzi o walkę między znachorem a lekarzem, doświadczony spostrzegacz nie łudzi się ani na chwilę co do jej wyniku — zwycięży znachor... W ludziach pod pokrywką cywilizacyi drzemie stara barbarya. Umysł ludzki wyuczył się przez wdrożenie swe wielu praw fizycznych, lecz co do ich mocy utwierdzenia się w nim, nie należy się łudzić: niech zagrzmi nagle i mocno, fizyka naszego poczciwca uleciała jak para wodna i znowu mamy przed sobą dzikiego nawpół zwierza, okrytego skórą, chwiejącego się duchem, jak było przed tysiącami lat.“

O pośrednie podtrzymywanie tej barbaryi autor oskarża pisma nasze, lekceważące wiedzę ścisłą i powierzające pieczę nad nią „służącym do wszystkiego.“ W pozwie tym jest wiele prawdy, ale czy dr. M. zrównoważył słuszność, wychłostawszy prasę, a napomknąwszy lekko o grzechach swego bractwa? Jakiej to potrzeba było wrzawy i moralnego nacisku, ażeby pisma lekarskie odezwały się w sprawie, która przedewszystkiem do nich należy! Czy redakcya włoży togi akademickie, czy szaty kapłańskie, czy kurtki cyrkowe, musi w swych organach odbijać chwilę bieżącą, bo inaczej — po co wydawać arkusz lub dwa co tydzień, a nie odrazu kilkadziesiąt na rok? Otóż nasza prasa lekarska bardzo słabo odzwierciedla współczesność, a jej ukazywanie się co tydzień jest rytmem sztucznym, nieusprawiedliwionym treścią, nieodpowiadającym wewnętrznej potrzebie. Ona jedna milczy lub odzywa się najpóźniej w sprawach społecznych, w których głos pierwszy zabrać powinna; a potem dziwi się i oburza, że ją pisma brukowe wyręczają, jak umieją. Często przypomina ona ową „wyborową publiczność,“ która stroni od tramwaju elektrycznego, bo w nim jechał „Gawrosz warszawski.“

*) W całej tej sprawie humor leje się szerokimi upustami. W chwili gdy *Gazeta lekarska* maczugą uderza p. Ochorowicza, mszcząc wyrządzoną przezeń zniewagę medycynie i jej kapłanom, p. O. ogłasza w *Kuryerze codziennym* „prośbę do pp. *lekarzy*, ażeby mu już chorych nie *przysyłali*, gdyż z powodu braku czasu nowych kuracyj rozpoczynać nie będzie.“ Więc lekarze stawiają pod pręgierzem p. Ochorowicza i lekarze przysyłają mu tylu chorych, że on aż publicznie musi ich prosić, ażeby tego nie czynili? Zgadnij Jezu, kto cię bije!

Wyścigi tegoroczne odbyły się według tradycyi: konie biegały, totalizator działał, a „sportsmeni“ *Kuryerowi* w stylu *Figara* silili się na mokotowską angielszczyznę, w której trochę zwrotów bywa z Shakespeare'a, a trochę z Olendorfa. *That is the question, all right* itp. — powtarzały się z konceptami o naczyniu dziwnego nabożeństwa i p. Rawiczu. Kto zaś przy owym turnieju z kogo kpi i tym razem pozostało zagadką. Żokieje bowiem, „lordowie“ i śpiewacy stajni śmieją się razem, a każdy udaje, że on z wszystkich.

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Nasi bohaterowie. — Męczennik Bryś. — Moje rozczarowanie względem p. Nowińskiego. — Pasterz strzyżący owieczki. — Miłe wieści z *Gaz. świątecznej*. — Krytycy. — Odważne wystąpienie p. Lorendowicza w *Korespondencie płockim*. — Nie wszystko dobrze ganić.

Ktoby chciał twierdzić, że nasz kraj jest jałowy, wypowiedziałby wielkie bluźnierstwo. Przejrzyjmy tylko szereg bohaterów z ostatnich czasów, a zdumienie niewypowiedziane nas ogarnie przed ich potęgą liczebną. Kto dziś jest *wielkim*, czyje życiorysy nie są drukowane! Ksiądz za spełnianie swych najzwyczajniejszych obowiązków: odprawianie mszy, spowiadanie itd., właściciel ziemski za dobre użyźnienie gruntu, kamienicznik za niezbyt drogie lokale i miękkość dla lokatorów, kupiec za ceny nie nadto wygórowane, fabrykant za regularną wypłatę, wszyscy ci „dobrze zasłużeni krajowi“ odurzają się nadmiarem kadzideł drukowanych, a mają jeszcze być uwiecznieni w zapowiadanej od kilku miesięcy książce *sławnych ludzi!* Idźmy dalej, a podziwu i... oburzenia nam zabraknie. Fejletonista *Kaliszanina* poświęcił cały odcinek serdecznemu wspomnieniu o działalności bohatera pewnej okolicy, *Brysia, pokątnego doradcy*. Słuchajcie, czytelnicy, jakie są zasługi tego wielkiego męża, którego chłop za krzywdę swoją zamordował: pomijam szczegółowy rysopis i drobne fakty z życia „męczennika,“ bo toby mi zajęło połowę artykułu, ale oto najważniejsze zasługi: „Nie pojmował znaczenia „gramatyka,“ a pomimo to pisał nietylko dobrą ortografią, ale oryginalnym, jędrnym, niekiedy aforystycznym stylem (za te zalety, których brak wielu naszym dziennikarzom, warto mu wznieść pomnik). „Miał układną powierzchowność, łatwo ujmował sobie ludzi“ (w jego fachu rzecz niezbędna). Osiadł w Uniejowie i tam został „adwokatem.“ Wkrótce sława jego po całej okolicy się rozniosła. Wprawdzie powszechnie ludność kilku wsi i miasteczek nazywała go *plagą okolicy*, ale to nie ochładza gorącego zapału biografa, bo chociaż nikt nieboszczykowi „nie wykładał żadnych zasad honoru,“ mógł on iść w zawody z najwytworniejszym dżentlemanem!“ Moi państwo, co wy na to wszystko powiecie? Gdybym wierzył, że św. Piotr ma swoją służbę administracyjną na ziemi, pomyślałbym, że męczennik Bryś otrzymał od jednego z urzędników świadectwo sprawowania się, potrzebne przy wrotach niebieskich. Czekajmy! może wkrótce literatura nasza wzbogaci się życiorysami zasłużonych... koniokradów.

Srodze mię zasmucił następujący list p. Nowińskiego, właściciela majątku S.: „W *Wieku* umieszczona była korespondencya, w której znajduje się wzmianka o wniesionym przezemnie do jednego z Towarzystw rolniczych projekcie „zabezpieczenia najemników w gospodarstwach wiejskich od samowoli pracodawców.“ Mam honor zawiadomić, iż podobnego projektu wcale nie wnosiłem, albowiem w tutejszej miejscowości, raczej pracodawcy zależą od woli najemników... Zabierałem głos w sprawie urzędników gospodarczych i nie w kwestyi zabezpieczenia ich od samowoli pracodawców, lecz wogóle w kwestyi polepszenia ich bytu i zabezpieczenia materyalnego na stare lata, albowiem ta klasa ludzi, nosząca nazwę oficyalistów wiejskich, w rzeczy samej znajduje się w opłakanym stanie. Wystąpienie moje w tej sprawie było wywołane tą okolicznością, że niektórzy ziemianie wymagali rekomendacyi oficyalistów, więc ja dla równowagi prosiłem Towarzystwo o wypracowanie projektu zabezpieczenia oficyalistów pod względem moralnym i materyalnym.“ Przeczytawszy poprzednią wzmiankę w korespondencyi, chciałem już uwielbiać p. Nowińskiego, a tu naraz, jak piorun, spada smutne rozczarowanie! P. N. nietylko nie opracowywał żadnych projektów zabezpieczenia najemników, lecz przeciwnie, jeszcze im złorzeczy. A w Towarzystwie rolniczem tylko „zabierał głos“ w sprawie oficyalistów i to nie miał na względzie samowoli pracodawców. Szkoda!.. Myślałem, że p. N. potrafi coś więcej zrobić nad radę uprzyjemnienia starości pracownikom, steranym w długoletniej walce z pańską poniewierką i wyzyskiem. W każdym razie dzięki owemu obywatelowi i za to, że chce raczyć leguminą tych, co obiadu nie jedli. Może u siebie jest innym gospodarzem.

Ale zobaczmy, jak gospodarują księża w niektórych parafiach. Od. Z. G. z P. otrzymałem długi list ze skargą na czarną brać. Nie jest to głos pojedynczy, z 7,000 wiernych przeważnie ciemnych, szumna większość. Pomijam skargi korespondenta, ogólny, niepowabny obraz działalności tamtejszych pasterzy, a przystąpię tylko do samych faktów, bardzo wymownych bez gorzkiej okrasy. Parafia P. posiadała dwóch księży; wikary, chociaż niższy w urzędzie, panował przewagą umysłową nad proboszczem. Gdy pierwszy żywo się interesował dolą ciemnych, drugi lgnął do „śmietanki“ i to do ponętniejszej połowy. Zawiązały się stąd między sługami bożymi niesnaski, które zagnały poważnionych aż przed sąd biskupi. Rezultatem tego było przeniesienie wikaryusza do innej, mniejszej parafii. Pozostały proboszcz, snadź za często wybiegał po za szranki przepisów kościelnych, skoro w kilka miesięcy później władza duchowna osadziła go na pokucie w klasztorze. Wszystkie te skandale, jak utrzymywali poświęceni i niepoświęceni przyjaciele ukaranego, wywołali chłopi. Wystarano się więc o administratora parafii, znanego ze zdolności karcenia niesfornych owieczek. Po objęciu obowiązków pierwszej zaraz niedzieli pozabierał włościanom czapki, pokładzione podczas modlitwy na stopniach konfesyonałów. Pomysłowy pasterz, korzystając z kilkunastostopniowego mrozu, żądał za wykup fantów po rublu od sztuki. Figiel się jednak nie udał, gdyż chłopi nakrywszy głowy kożuchami poszli do domów, klnąc niebywałe zwyczaje. Kapłan nie chcąc narazić na profanacyę swej świętej osoby, nie każdego nawet z wyższych sfer urodzeniem i majątkiem przyjmował. „Chamów“ zaś rozpędzał i groził strzelaniem w łeb w razie nieposłuszeństwa. Wszystko to znoszono cierpliwie, dopóki urzędnik boży taksy nie podwyższył za „obrządki chrześciańskie.“ Najbiedniejszy za ślub, pogrzeb itd., musiał płacić po kilkanaście rubli bez względu na odległość. Niedość tego; proboszcz mając „fraucymer“ własny, nie chciał go umieścić za daleko od siebie; postanowił więc wybudować pałacyk przy kościele. W sam czas nadeszła spowiedź wielkanocna. Naznaczono więc po rublu od duszy. Przerażeni tem parafianie podali zbiorową prośbę o zniżkę. Wówczas ksiądz podał projekt, aby 150 bogatszych włościan podpisało się na sumę 4,000 rs., reszta zaś się dopełni z „dobrowolnych składek.“ Za to spowiedź będzie tylko po 40 kop. Ostatnie to rozporządzenie — pisze p. G. — wywołało zgrozę nawet śród dewotek i stałych satelitów plebanii. Podobno kasa kościelna, będąca dotąd pod kontrolą bractwa, przechodzi pod „opiekę“ owego księdza... Fakty powyższe taką wzbudzają zgrozę, że chciałbym im nie wierzyć. Łudzę się nadzieją usłyszenia dowodów przynajmniej łagodzących czyny duchownej osoby, ale niegołosłownych, bo o gorliwych z urzędu obrońców sutanny czczymi frazesami, nie trudno nigdy.

Jakże rzadko dają się słyszeć tak miłe wieści, jak w *Gazecie świątecznej* z pewnej gminy w Augustowskiem: „słowa z ambony przenikły do serc naszych i nakłoniły wszystkich do pozbycia się wad, a do lepszego życia w spokoju i miłości“ — pisze jeden z siermiężnych. Podobno dawniej było tam wielkie zepsucie, gospodarze się żarli, młodzież łajdaczyła, pijąc, wyprawiając hulanki, a czasem nawet trudniła się rozbojem. Dziś inaczej; ksiądz mową, a wójt czynem wyniszczają złe nałogi. Oprócz umoralnienia, lud tamtejszy nabrał zalet innych, w praktycznem życiu. Gospodarze jednej wsi założyli sklep, w którym każdy chętnie towar kupuje, bo sprzedają tam taniej niż w mieście, zadawalając się skromnym zarobkiem.

Czytając listy chłopów do *Gazety świątecznej*, podziwiam nieraz ich rozsądny pogląd na rzeczy i zmysł krytyczny. Ten ostatni nie sięga daleko, bo i pojęcia kmiece nie szerokie, ale o ileż on logiczniejszym i wyższym bywa od rozumowań jednego z naszych wielkich uczonych fejletonistów, który ważną kwestyę stosunku sługi do pana rozwiązuje... *kijem i pięścią*! (Kto się chce przekonać, niech zajrzy do *Kuryera warsz.* nr. 114). Stosuje on podobno tę metodę sam z powodzeniem do szewców. Chyba to jest tylko przechwałka, bo ile sądzić mogę na oko, autor za wątłe ma mięśnie na taki turniej rycerski. Może to mowa o mizernych, zahukanych terminatorach, przynoszących kamasze krytykowi. Tacy zapewne nie mają jeszcze siły zmierzyć się z wielkim bohaterem. Oj, ci krytycy! P. Lorentowicz w *Korespondencie płockim* poświęcił im wstępny artykuł, nasycony żółcią. Kiedy w miastach prowincyonalnych— mówi autor — zakładają towarzystwa użyteczności publicznej, niezmiernie szczupłe są zwykle listy miejscowych filantropów, ale za to wejdź do salonu i posłuchaj gawęd o stosunkach miejscowych. Usłyszysz, jak pan doktor rozprawia z zapałem o nieumiejętnej administracyi, o braku inicyatywy, o dziwnie jałowych sposobach działalności towarzystwa. Pan adwokat rzuci złośliwą uwagę, że taka a taka dama czynny bierze udział „dla sławy“ lub „blagi,“ a jakiś członek zarządu „tylko przeszkadza, nie pomaga.“ Ale ci poczciwcy, ci mądrzy doradcy zapytani, dlaczego sami nie wejdą w skład towarzystwa, dlaczego nie przerobią go przez swą pracę i ofiarność, potrafią zaledwie wybąknąć kilka słów, równie dzielnych, jak cała ich działalność. Nic nie czynią dla dobra publicznego, żyją zamknięci w potwornej skorupie lenistwa, obojętni, chorobliwie zarozumiali, ale za to po rycersku miażdżą wszystko, chcąc tem pokryć pustkę umysłu, serca i ducha. Ów przesadny krytycyzm, a właściwie niedorzeczne wydziwianie, zmienia na prowincyi stosunki towarzyskie do niepoznania, wytwarzając zamiast uczciwych i zdrowych pojęć etycznych, nikczemne i karykaturalne. Szlachetność i zacność bliźnich kłują oczy krytyków i spać im nie dają spokojnie. Rzecz dochodzi do tego, że w prowincyonalnem życiu bardziej należy ukrywać czyny podniosłe, niż niskie, bo nieuczciwość jest normalną, powszechnie więc bywa przebaczaną, szlachetność zaś, jako rzecz niezwyczajna, uważaną jest za chęć błyszczenia i domaganie się hołdów dla cnoty, której krytycy nie znoszą. A książki, artykuły przeczytane, oglądanie obrazów, widowiska teatralne itd.? „Tam już nikt

nie myśli o wyciągnięciu z przedmiotu przeczytanego lub posłyszanego korzyści i nigdy korzyści tej nie uważa za cel samej rzeczy, ale zdaje mu się, iż książka i sztuka napisaną jest po to jedynie, aby mu dać sposobność do wyprowadzenia kilku nadętych głupotą uwag. Czyta się przeto setki książek, ale jałowo, bezmyślnie, tępo." Podziwiam odwagę p. Lorentowicza, już nie po raz pierwszy wypowiadającego prawdę swemu otoczeniu. Wszak za to może go spotkać wygnanie ze wszystkich salonów i omijanie na ulicy. Jakkolwiek unisienia jego są szlachetne, radziłbym je wszakże hamować w pewnych razach, wywierających wprost przeciwny skutek: czytają — źle! nie czytają — źle! W tych wypadkach wierzę w metodę przedsiębiorców amerykańskich. Rozsypują oni bezustannie na wszystkie strony ogłoszenia. Pierwszy raz publiczność chowa je do kieszenie nie oglądając, drugi raz czyta machinalnie, trzeci— zwraca uwagę, czwarty — kupuje. Najbardziej ospały umysł, z kilkunastu książek przeczytanych „jałowo, bezmyślnie, tępo," obok chęci krytykowania, wyciągnie dla się jaki taki pożytek.

Drogomir.

PRASA RUSKA.

Graždanin pisze:

„Równocześnie z zaborami ziemi naszej, dokonywanymi przez niemców, wogóle wzdłuż całej naszej granicy zachodniej, a w szczególności w kraju Prywiślańskim, poczyniono pewne kroki w celu przeszczepienia na grunt tutejszy ruskiej własności ziemskiej. I tak obdarowano majoratami osoby ruskiego pochodzenia, które służyły tutaj, obok tego zaś pewna liczba znaczniejszych majoratów wraz z działami pięknych lasów skarbowych dostała się wyższym dygnitarzom petersburskim. Ostatnia ta kategorya sprzedaną została niebawem przez nowych dziedziców obcokrajowcom, co skłoniło kogoś do dowcipnego odezwania się, iż był to czwarty rozbiór Polski. Rozdawanie w formie wielkich majoratów tych gruntów, które po powstaniu w r. 1831 przeszły na własność skarbu, podjęte było w tej myśli, aby w osobie większych właścicieli ziemskich ruskiego pochodzenia stworzyć dla państwa punkt oparcia, to jest ułatwić mu dalsze pokojowe reformy, przeprowadzane w kraju. Myśl ta wywołała natychmiast, to jest w r. 1835, silną opozycyę wśród ludzi, którzy wedle współczesnej terminologii należeli do t. z. ruskiego stronnictwa. Dowodzili oni, że bogaty dygnitarz, obdarowany choćby najpiękniejszym majoratem, nie zechce pozostać w kraju Prywiślańskim, ponieważ dar ten i tak stanowić będzie zaledwie nieznaczną cząstkę jego majątku; również nie zamieszka w swym majoracie i nie porzuci służby niezamożny stosunkowo karyerzysta, który wszystkie swe nadzieje pokłada w awansie. Obaj ci typowi przedstawiciele osób obdarowanych majoratami, zapatrywać się będą na otrzymane dobra wyłącznie jako na nowe źródło dochodu i chodzić im będzie tylko o wyciągnięcie z nich możliwie największych zysków. Do tego celu zaś nadaje się najlepiej system fikcyjnych plenipotentów, będących w rzeczywistości samodzielnymi panami, a rekrutujących się z żydów, polaków i obcokrajowców.

„Tak się też stało: 99% z liczby wszystkich tutejszych majoratów ruskich przeszło w ręce obcokrajowców i żydów. Majoraty, będące w rzeczywistości własnością niemców, spowodowały napływ zagranicznych włościan niemieckich, którzy założyli swe kolonie tuż przy majoratach. Powstały całe obszary, niejako zamknięte szczelnie przez dobra właścicieli majoratów i sąsiadujące z niemi kolonie niemieckie. Dowodów na to nie potrzebujemy szukać daleko; dość będzie wskazać prawosławne centrum ruskiego Zabużja, to jest Chełm. Otóż około tego miasta rozciąga się wielki majorat, należący do rodowitego niemca, w bezpośrednim sąsiedztwie zaś a po części i na samem terytoryum rzeczonego majoratu wyrosły olbrzymie kolonie niemieckie, będące w pełnym rozkwicie...

„Przeciwnicy systemu wielkich majoratów opracowali inny projekt, polegający, jak wiadomo, na rozdawaniu gruntów skarbowych drobnym i średnim, a zubożałym urzędnikom ruskim, przedewszystkiem zaś wojskowym, uczestniczącym w kampanii z r. 1831, którzy obowiązani byliby mieszkać w nadanych im majątkach. Nie ulega wątpliwości, że tacy obdarowani biedacy poczytywaliby możność uwicia sobie stałego gniazda za wielkie szczęście. W kraju powstałaby średnia inteligentna warstwa ruska, w której rząd w ciężkich czasach mógłby znaleźć pewne oparcie; jak wiadomo jednak, nie urzeczywistnił się ten projekt — zbyt wielką obawę budził we wrogach Rosyi.

„W r. 1871 wydano wprawdzie Najwyżej zatwierdzone przepisy i na ich zasadzie część zawiadywanych przez skarb obszarów poduchownych w kraju Prywiślańskim sprzedawano wyłącznie osobom ruskiego pochodzenia, do których zaliczono także urzędników wyznania luterskiego; drugą jednak część powyższych obszarów sprzedawał skarb wszystkim bez wyboru. Ostatecznie granica między obu temi kategoryami dokładnie określona nie została i w każdym poszczególnym wypadku rozstrzygali urzędnicy pochodzenia polskiego, z których wówczas krajowe izby skarbowe składały się prawie wyłącznie. Nic tedy dziwnego, że w pewnych guberniach wszystkie nieomal dobra poduchowne przeszły w ręce nieruskie, że dalej ruskim dostały się tylko gorsze majątki i że bardzo wiele majątków jest tylko nominalną własnością ruską, prawdziwymi zaś właścicielami są niemcy lub polacy.

„Tak więc próba wytworzenia w kraju ruskiej średniej własności ziemskiej nie udała się, równie jak i próby z wielką własnością. Atoli rzecz tę naprawić jeszcze można i należy."

Nowoje Wremia do swej korespondencyi z Warszawy dodaje następującą uwagę:

„Warszawski nasz korespondent porusza rzecz niezmiernej wagi, zwłaszcza na wypadek pewnych okoliczności, że droga żelazna Iwangrodzko-Dąbrowska, kolej strategiczna i przez rząd poręczona, dotychczas znajduje się prawie wyłącznie w rękach niemieckich, a mianowicie w rękach berlińskiego Banku dyskontowego, który, jak nam z pewnego donoszą źródła, nie otworzył jeszcze zapowiadanej subskrypcyi na akcye rzeczonej drogi.

„Oryginalną jest również rzeczą, że mimo to, co wyżej powiedzieliśmy, w latach 1886 i 1887 ukazały się z Berlina depesze „Agencyi północnej," donoszące właśnie, że wspomniany Bank dyskontowy otworzył subskrypcyę na akcye drogi żelaznej Iwangrodzko-Dąbrowskiej, sprzedane poprzednio syndykatowi berlińskiemu. Jakże więc tłomaczyć sobie to zwlekanie? A jednak okoliczność ta, w czyich rękach znajduje się strategiczna droga ruska, jest sprawą nadto ważną, aby wolno było zachowywać się wobec niej obojętnie."

KRONIKA BIEŻĄCA.

Teatr ruski. Trupa aktorów petersburskich w przejeździe do Pragi czeskiej dała w Teatrze Wielkim kilka przedstawień. Rozpoczął je *Dudek* J. Sporzyńskiego, komedya trzyaktowa, w której zręczna kobieta zapomocą znanych środków sidła przekornego mężczyznę i w pajęczych niciach robi zeń *dudka*. Nie umiemy ocenić, o ile sztuka ta posiada barwy swojskie; natomiast zaznaczymy, że rozwija się żwawo.

Pskowianki Meja wystawiono tylko akt pierwszy, zawiązujący intrygę, wysnutą z wiarołomstwa.

Czteroaktowa komedya *Na czasie* karci wady, przeżerające jak zaraza organizm społeczny, w dwu szeregach okazów: ludzi znikczemniałych i przytępionych moralnie. Bohaterką przedniego planu jest młoda wdowa Buranowa, która rozstawia na wszystkie strony potrzaski — pieniężne, miłosne. Ofiary jednak wymykają się jej szczęśliwie.

P. Aleksandrow przerobił znaną komedyę Sardou *Rozwiedźmy się* i przeszczepił ją na grunt ruski bez uwagi, że ona na tym gruncie nie ma racyi bytu. W Rosyi bowiem rozwody nie istnieją.

W odegraniu tych sztuk odznaczyli się głównie: pp. Wasilewa, Warłomow, Czernow, Korwin-Krukowski, Aleksandrow, Czystiakow i inni.

Teatr polski nie przedstawił w ostatnim tygodniu nic ważniejszego. Teatrzyki ogródkowe rzuciły kilka *bomb* na publiczność, żadna wszakże dotąd nabita rublami nie pękła.

— Konkurs *Echa* na sztukę ludową rozstrzygnięto. Pierwszej nagrody nie przyznano nikomu, drugą — melodramatowi *Walka* P. Koźmińskiego.

Bibliografia. T. Łuniewski, *Doświadczenia nad uprawą kartofli*, wykonane w r. 1887, w Korytnicy nad Liwcem, przy pomocy S. Budzyńskiego. Warszawa, str. 23 i tablice, *Gaz. rolnicza*.

— K. F. Becker, *Historya powszechna*, zeszyty 130—133.

— Dr W. Wicherkiewicz, *Geografia popularna*, zeszyty 10—12.

— *Sprawozdanie* stowarzyszenia wzaj. pom. subjektów handl. wyz. mojż. za r. 1887.

— H. S. Olcott, *Zasady filozofii moralności buddyjskiej*, przekł. W. Z., Warszawa, str. 59.

— S. Miecznikowski, *Rachunek przybliżony*, Warszawa. str. 40.

— H. Sienkiewicz, *Pan Wołodyjowski*, tom drugi i trzeci.

— Wyszła w oddzielnej odbitce ze *Zdrowia* broszura dr. Szumlańskiego o doświadczeniach Ochorowicza w klinice szpitala św. Ducha.

Pożary. Nieszczęśliwy Nowy Dwór, który niedawno zniszczyła powódź, uległ strasznemu pożarowi. Spłonęło sto kilkadziesiąt domów. Jeszcze większe spustoszenia sprawił ogień w Sokółce, gdzie zgorzało kilkaset zabudowań.

W Petersburgu senat rozstrzygał przy zamkniętych drzwiach sprawę apelacyjną redaktora gazety *Nowoje Wremia*, Fedorowa, wniesioną od wyroku Izby sądowej, która go za pomieszczenie w gazecie korespondencyi, uwłaczającej honorowi niemieckiego agenta wojskowego w Petersburgu, Villarma, skazała na sześć tygodni aresztu na odwachu i 300 rs. kary. Senat zatwierdził wyrok Izby.

Legitymacya. W myśl rozporządzenia władzy administracyjnej, wszyscy artyści malarze podczas wycieczek w obrębie gub. warszawskiej, mający na celu zbieranie studyów, dla uniknienia wszelkich nieporozumień, winni być opatrzeni w odpowiednie legitymacye, a nadto uzyskiwać zezwolenie na zdejmowanie widoków od miejscowych naczelników straży ziemskiej.

Z Kijowa donoszą, że przedstawiciele cukrowników postanowili: świadectwa na wywóz za granicę cukru z kampanii 1887/8 ponad ilość umówioną, przyjmować na rachunek zobowiązań wywozowych z kampanii 1888/9 r. Powodem tego postanowienia jest znaczna różnica pomiędzy ceną cukru gotowego a cukru z przyszłej kampanii na rynku londyńskim. Różnica ta wynosi do 2 szylingów, dla wielu zatem fabrykantów wywóz w obecnej chwili może się okazać znacznie korzystniejszym, niż za rok.

Szkoły. Zarząd piotrowskiej akademii rolniczoleśnej w Moskwie ogłasza, że w r. b. na pierwszy kurs oddziału rolnictwa może być przyjętych tylko 80 słuchaczów, oddział zaś leśnictwa został zamknięty.

— Z przyszłym rokiem szkolnym liczba uczniów w każdej klasie nie będzie mogła być większą nad 40. W razie większego napływu, dyrektorowie gimnazyów będą mogli przenosić uczniów do progimnazyów, przy których będą otwierane w takim razie klasy równoległe.

Cło wywożone na zużle rudy żelaznej i fryszerskie, wyprowadzane przez komory Królestwa Polskiego, zostało ustanowione. Zużle w bliskości granicy fabryk żelaza w Królestwie mogą być wywożone przez komory tameczne nie inaczej, jak za osobną decyzyą ministra skarbu i za opłatą po pół kopiejki złotem od puda.

Zakaz przywozu do Prus z Królestwa Polskiego suchych skór, wełny i łoju, oraz transportów bydła rogatego i wszelkich wyrobów ze zwierząt przeżuwających, z wyjątkiem nabiału, wydała regencya w Królewcu. Powodem zakazu ma być panująca jakoby u nas zaraza na bydło.

St. Pet. Herold donosi, iż ministeryum oświaty zaleciło, aby na wydział farmaceutyczny przy uniwersytecie dorpackim przyjmowano tylko 5% izraelitów.

Policya podmiejska ma być utworzona w liczbie 150 stójkowych, podoficerów i rewirowych. Będzie ona bezpośrednio podległą oberpolicmajstrowi m. Warszawy, który zamianuje dwóch naczelników, czyli komisarzy.

Koleje. Na miejsce ustępującego inspektora kolei w Królestwie Polskiem, rz. r. st. J. J. Gorbunowa, mianowany został inżenier rz. r. st. P. A. Łaskin.

W Brześciu Litewskim zaprowadzoną zostanie na wielką skalę hodowla gołębi pocztowych.

Amerykański elektrotechnik, Hiram Maxim, wynalazł nową kartaczownicę, która pod względem morderczych skutków przewyższa wszystkie poprzednie; wyrzuca ona dość celnie i na znaczną odległość 600 kul w ciągu minuty. Wynalazek został nabyty przez rząd austryacki. Zamówiono 30 kartaczownic, które mają służyć dla dopełnienia uzbrojenia załóg Krakowa i Przemyśla. Głównem ich przeznaczeniem jest obrona wałów fortecznych.

Nowy język powszechny pod nazwą *lingua* zjawił się w Londynie. Wynalazcą jego G. J. Henderson.

Prasa. Zapowiedziane wydawnictwo *Gaz. kolejowej* na czas nieograniczony odłożonem zostało.

Zaliczenia na zastawy wełny, czynione dotychczas przez niektóre tylko oddziały Banku państwa w Królestwie, rozszerzone zostaną na wszystkie oddziały tegoż Banku u nas i w Cesarstwie.

Za wełnę — której jarmark w Warszawie rozpoczął się — składaną w magazynie kantoru Banku państwa, pobierane będzie składowe za pierwsze trzy miesiące po 15 kop. od każdych 100 rs. wartości, podanej przez właściciela, a za każdy następny miesiąc po 16 kop. od 100 rs.; wagowe (po 1 i pół kop. od puda i opłata asekuracyjna po 30 kop. za każde trzy miesiące, oraz ustanowiony podatek skarbowy.

Główny zarząd poczt i telegrafów donosi, że w osadzie Powązki utworzono stacyę telegraficzną obozową dla przyjmowania depesz wewnętrznych.

Z Poznania. Dobra Oczkowice w pow. Krobskim, liczące 399 hektarów obszaru, a należące do Naziorowskiego, przeszły w ręce niemieckie.

Komisya kolonizacyjna nabyła dobra Kadowinckie pod Złotowem, mające 14,000 mórg obszaru, własność nieżyjącego Grabowskich.

Katastrofa. Wskutek wybuchu w fabryce gazolinu w mieście Frederik, Maryland, 75 robotników poniosło śmiertelne obrażenia.

Wynalazek. P. Kawanski w Takamutsu w Japonii, wynalazł sposób wyrabiania papieru z buraków i rzodkiewek.

Komitet ministrów pozwolił na założenie towarzystwa lekarskiego ruskiego przy Uniwersytecie warszawskim.

Prawo. Ogłoszoną została opinia Rady państwa o odpowiedzialności za kradzieże cudzego lasu. Winowajcy ulegną za pierwszym razem karze pieniężnej, nie większej nad 50 rs.; za drugim — aresztowi, nie dłuższemu nad trzymiesięczny, a za trzecim i w dalszych — więzieniem, od jednego miesiąca do sześciu z zobowiązaniem do wynagrodzenia w dwójnasób wartości skradzionego lasu.

Bitwa. W dniu 30 maja mieszkańcy wsi Krzewo-Nowe w pow. łomżyńskim, w liczbie 38 ludzi, stoczyli walkę na wygonie z mieszkańcami wsi Zalesia, pow. mazowieckiego. Wielu uczestników walki postradało życie, czterej na drugi dzień z odniesionych ran zmarli. Powodem krwawego zajścia był spór o kawałek jałowego pastwiska.

Sztundyzm. Wydział kijowskiego sądu okręgowego sądził w Czehrynie trzech włościan, obwinionych o szerzenie sztundyzmu. Wszyscy będą wysłani na Kaukaz.

Zmarli. Leon Zaleski, redaktor i założyciel *Gaz. lubelskiej*.

— Józef Sapalski, znany przyrodnik, w Miechowie.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 3 Іюня 1888 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.